№ 26. Warszawa, d. 13 (25) Czerwca. 1870 roku.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5.— Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W téj summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.—w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.*

Treść Numeru. Niezwykła zmiana (Wiersz). — Kobiety podróżniczki przez Sewerynę Duchińską. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena, przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński.— Korespondencja z Paryża.—Kilka nowszych niemieckich powieści, ze względu na ich stosunki ze stanem społeczeństwa.— Artykuł p. A. Nowosielskiego „O Kwestji Kobiecéj".— Natalja Borisówna Dołgorukowa powieść p. Furmanna. — Opis ryciny kolorowéj. — Od redakcji.

Niezwykła zmiana.

Co się znaczy, co się dzieje?
Słońce jaśniéj lśni na niebie,
Zapał w piersi ogniem grzeje,
Świętość czuję w koło siebie.
Zdaje mi się że ptaszęta
Słodziéj nucą, miléj gwarzą,
Że się gwiazdki bardziéj żarzą,
A natura uśmiechnięta,
W najpyszniejsze się kobierce
Przyodziała, przystroiła.
Co się dzieje... Tak mi serce
Jakaś lubość otoczyła,
Że gdy widzę łzę u kogo,
Lub kalekę po nad drogą,
Czy sierotkę bez odzienia,
Łza mi ciśnie się i płaczę,
A rozdając im część mienia,
Współcierpieniem datki znaczę.
Albo znowu, gdy czasami
Myśl rozbujam, to żegluję
Po niebiosach z aniołami,
A na skroni swojéj czuję,
Jakiś oddech czarujący.
Czasem — czasem — czy wy wiecie,
Rwie mnie płomień tak gorący,
Że z kolei, w całym świecie
Wszystkich ludzi bym miłował,
Pieścił, bawił, ucałował...
Co się dzieje — co się dzieje,
I co znaczą takie zmiany?..
Ach, to miłość promienieje,
Bom pokochał, bom kochany.

Franciszek Gumowski.

KOBIETY PODRÓŻNICZKI

przez

Sewerynę Duchińską.

PANI GODIN DES ODONAIS.

I.

Pani Godin des Odonais urodzona w Ameryce południowéj w 1778 roku, pochodziła z rodziny Hiszpańskiéj, połączonéj od dawna krwią z Peruwianami. Młode jéj lata mało znane, wiadomo tylko że miała dorodną powierzchowność, męzką odwagę i nadzwyczaj bujną wyobraźnię. Ledwie skończyła lat trzynaście, zaślubiono ją z młodym Francuzem, który przy sławnym podróżniku la Condamine, pracował w komisji inżynierów, wysłanych do Ameryki południowéj dla oznaczenia południka.

Młody Francuz popychany szlachetną ambicją, porywał się z zapałem na różne przedsięwzięcia, lecz co chwila bolesnego doświadczał zawodu. Zbieg okoliczności rozłączył go z młodziuchną żoną. W obawie nienawistnych mu Portugalczyków, Godin uciekł na wschodnie wybrzeża, i tam błąkał się po pustyni Oyapoe, żona tymczasem przebywała w Rio-Bamba, w zachodniéj stronie Ameryki południowéj.

II.

Dwadzieścia lat upłynęło w ten sposób, pani Godin przez ten czas nie widziała męża, mimo to, długie rozłączenie bynajmniéj nie zachwiało jéj uczuć. Po rozważnym namyśle postanowiła bądź co bądź złączyć się z mężem, i dzielić z nim losy na pustyniach Guyany.

Zamierzona podróż, daleka i uciążliwa po przestrzeniach niedeptanych ludzką stopą, naraziła ją na tysiące niebezpieczeństw. Szlachetna kobieta, wiedziała na co się wystawia, nic jednak nie mogło zachwiać jéj w postanowieniu. Żegna więc przyjaciół i udaje się w podróż w towarzystwie dwóch braci, Jenerała Grandmaison, kilku wiernych sług i doktora Francuza.

Podróżni puścili się ku Amazonce. Od Rio-Bamba do pierwszego portu na rzece, podróż miała potrwać kilka tygodni. Ślady drogi całkiem tu nieznane, lasy tylko i lasy bez końca.

Pierwsze dnie zbiegły bez przygód, karawana przebyła wesoło szerokie doliny. Ale w miarę jak się zapuszczała w bezludne pustkowia, trudności rosły, niepokój ogarniał umysły, bo gdzie rzucić okiem wszędzie straszno i głucho, wioski krajowców skupione po urwistych brzegach rzek i jezior, wszystkie opuszczone, powalone w zgliszcza. Ospa, ta straszna plaga tubylców Ameryki, wytępiła zupełnie ludność. Cisza śmierci odebrała odwagę podróżnikom.

Na szerokiéj dolinie spotykają wreszcie dwóch krajowców, ostatni szczątek kwitnącéj niegdyś i zamożnéj ludności tych okolic. Ci Indyanie zobowiązują się służyć im za przewodników, przez kilka dni prowadzą ich ku brzegom Amazonki, przez kręte strumienie, i grzązkie topieliska. Dnia jednego Indjanie uciekli zostawiając ich bez pomocy.

Pani Godin szła na oślep z towarzyszami, chcąc wykryć jakieśkolwiek ślady człowieka. Nic jednak nie świadczyło o pobycie ludzi w tych stronach.

Dnie i tygodnie mijały w gorączkowéj niespokojności. Karawana spotyka wreszcie nowego Indjanina. Otucha wstępuje w serca wszystkich. Ale nieszczęście widocznie się na nich sprzysięgło. Indjanin który był zarówno przewoźnikiem jak i przewodnikiem naszéj karawany, utonął w potoku. Garstka podróżnych pozostała na kruchéj łodzi szamocząc się z prądem.

Łódź puszczona na wolę, pomykała naprzód i naprzód, aż nakoniec woda całkiem ją napełniła. Potok był wązki, podróżni zatem zdołali na brzeg wyskoczyć. Tam z wielkim trudem pobudowali szałasy z gałęzi. Doktór oddalił się za poszukiwaniem ludzkich śladów. Daremnie go szukano, przepadł gdzieś na pustyni.

III.

Nasi podróżni zbili nareszcie tratwę, zabrali jakie mogli zapasy żywności, i daléj popłynęli potokiem.

Mimo trwogi, choroby i głodu, płynęli coraz daléj z biegiem Bobonasy, lecz pęd wody stawał się coraz to gwałtowniejszy. Widząc wyraźne niebezpieczeństwo, wysiedli na ląd i zapuścili się w leśną puszczę.

Okropne było położenie tych nieszczęśliwych. Szli na oślep, sami nie wiedząc w którą stronę obrócić kroki. Do koła nich las ciemny, puszcza bez brzegu i bez końca. Wyczerpani z sił po jednemu upadają na ziemię, chcą powstać, niepodobna postąpić daléj kroku. Śmierć zagląda im w oczy, okrutna śmierć głodowa!

Nasamprzód umarli dwaj bracia pani Godin, wkrótce po nich trzy młode kobiety, reszta podróżnych rozproszona po lesie przepadła też bez śladu. Pani Godin została sama jedna, siła moralna nie

opuszcza jéj przecież, postanawia iść daléj. Obuwie jéj podarło się do szczętu, zdziera więc buciki z nóg zmarłéj towarzyszki, i pośpiesza gdzie ją oczy poniosą, przestrach pędzi ją naprzód.

IV.

Niekiedy w zmroku wieczornym zatrzymuje się nagle. Słyszy niby głos ludzki, to Hokko, nocny ptak co chrapliwem kwileniem przypomina jéj konającego człowieka. Czasem gdy spojrzy przed siebie, widzi dwa ogniste ślepie, śród powojów rozwieszonych po drzewach i słyszy syk węża poślizgującego po wilgotnéj murawie. Brnie z trudnością przez trzęsawiska, przedziera się przez wysokie trawy, ostre jak noże, przez kaktusy najeżone kolcami. Roje białych mrówek, i niezliczone chmary komarów wysysają krew z biednéj.

Późno w noc z obawy dzikich zwierząt, wspina się po chropawéj korze drzew, i szuka schronienia, na gęstych splotach bluszczu i pnących krzewin, wśród których zasypia jak w hamaku. Ryk jaguarów przebudza ją co chwila.

Ośm dni ubiegło w ten sposób. Dziewiątego dnia nad rankiem, pani Godin ocknęła się ze snu i poszła w dalszą drogę. W tym dniu odwaga całkiem ją opuściła. Idąc przemyśliwała smutno, jak długo potrwać może ten stan powolnego konania, w tem posłyszała jakiś szmer niezwyczajny. Stanęła jak wryta... słucha.... szmer wzrasta z każdą chwilą.... To zapewne dziki zwierz, a może dziki człowiek, nienawistniejszy od zwierza temu plemieniu Europejskiemu za mordy tylu współbraci. Przestraszona chce uciekać w głąb lasu.

Zatrzymuje się nagle.

— Cóż ja mam do stracenia? pyta sama siebie, czy tu, czy tam, czeka mnie śmierć niechybna! Lepiéj raz już zakończyć.

To rzekłszy zbiera ostatek sił i pośpiesza w stronę zkąd dobiegają głosy. Co krok postąpi, ciemny las rozstępuje się przed nią, spostrzega nakoniec wielką rzekę. Indjanie przywiązują łódki do brzegu.

Biedna kobieta jakby rażona gromem, radaby jeszcze uciec, lecz trwoga odebrała jéj siły. Stoi jak wrośnięta w ziemię. Tymczasem Indjanie przybliżają się do niéj. Ich twarze i ruchy nie zapowiadają groźnych zamiarów, przeciwnie prowadzą ją na brzeg, podejmują gościnnie i serdecznie.

V.

Pod opieką Indjan pani Godin przybywa do Loretu. Ztamtąd na statku portugalskim puszcza się z biegiem Amazonki. Spotyka wreszcie męża, którego od lat dwudziestu nie widziała. Wraz z nim udaje się do Kajenny. Oboje wsiadają tam na okręt i 26 Czerwca 1773 roku, przybijają do brzegów Francji.

Pani Godin przeżyła jeszcze lat dwadzieścia. Umarła dopiero w r. 1792.

Przygody téj bohaterskiéj kobiety, opisane są szczegółowo w dziele *A. Calier* p. t. Sceny z historji współczesnéj.

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z niemieckiego **Michał Gliszczyński.**

(Dalszy ciąg.)

ROZDZIAŁ XIII.

Wracałem do domu z kopalni, gdzie ustawiałem przybyłą właśnie machinę. Przy pomocy dyrektora i kilku ludzi wszystko poszło jak najlepiéj i wszyscy krzyknęli wesoło: Teraz damy jéj radę! Byłem w jak najlepszem usposobieniu i zdawało się, że jeszcze można naprawić złe i utrzymać radcę na dawnem stanowisku. Ale gniewne czoło Herminy i zaciśnięte różowe usta psuły mi tę błogą nadzieję. Wilhelm właśnie nadbiegł z wiadomością, że pan radca chce się ze mną widzieć i niecierpliwie mię wygląda. Zastałem go w jego pokoju rozmawiającego wesoło z radcą prawnym przy stole pokrytym mapami i anszlagami.

— A chodźże przecie! zawołał radca; — od godziny wszyscy cię szukają, bo nie możemy nic bez ciebie zrobić; — przynajmniéj ja, bo ten oto pan już sobie sam poradził.

— Pozwól pan, panie radco! mówił Heckefennig.

— Na nic nie pozwalam! krzyczał radca; nie postępujesz w téj sprawie jak mój przyjaciel.

— Ależ jestem przyjacielem i drugiéj strony.

— To bądź przynajmniéj bezstronny.

— Zapytaj się o to swojego przyjaciela, czy nie byłem zawsze takim, odrzekł radca prawny obróciwszy się do mnie.

— Słowa wiatr, od tego nikt nie utyje. Przed ośmiu dniami dawał mi już książe 400,000 talarów za Zehrendorf. Od czasu jakeś zaczął pan z nim konferować zniżył już cenę o 50,000 t. co na każdą konferencję wynosi 16,666 i ⅔ talara. Dziękuję panu! Byłeś pan zawsze dla mnie drogim gościem, ale nie przypuszczałem nigdy żebyś mię tak dużo kosztował.

Pan Heckefennig poprawił kołnierza od tużurka, zaczesał lepiéj do góry włosy i spojrzał na mnie głupowato chytremi oczami, jakby chciał powiedzieć: „Kto chce złapać radcę Heckefenniga musi rano wstać! Sam na sobie doświadczyłeś tego młodzieńcze.

— Widzisz mój młody przyjacielu jak to ludzie postępują. Wściekam się ze złości! Wszak sam wiesz dobrze, że dobra Zehrendorf warte są 500,000 i to między rodzonymi braćmi, a zwłaszcza teraz kiedy jesteśmy pewni że wodę w kopalni wapna zatrzymamy. I spojrzał na mnie tak jakby mi chciał powiedzieć. Pal go w łeb!

— Jest to nawet za nizka cena, bo w dodatku znaleźliśmy sposób do osuszenia bagien za pomocą drenowania, dopiero co w Anglji wynalezionego.

I znowu spojrzał na mnie wyzywająco, jakby żądał odemnie potwierdzenia słów swoich. Plan ten ja sam podałem i dla tego uważałem sobie za powinność wyznać szczerze, że rachują dużo na to przedsięwzięcie, ale o jego dobroci przekonają dopiero rezultata. W najlepszym razie zyskamy grunt, tym sposobem zaledwie potrafi się wynagrodzić las na zawsze zniszczony. Cena Zehrendorfu nic na tem nie zyska.

— A niech cię djabli porwą! krzyknął radca porwawszy się z krzesła. Czy to po to tu przyjechałeś? Hę? Co?

— Przyjechałem, bo mię pan radca wezwał— odpowiedziałem spokojnie. Nabiegawszy się po pokoju rzucił się znowu na swoje krzesło, śmiał się i zgrzytał zębami mówiąc:

— Paradny człowiek ten Jerzy Hartwig! Zawsze ma doskonałe odpowiedzi. Przyjechał, bom kazał mu przyjechać. Paradny człowiek. Uderzywszy mię ręką po kolanie mówił daléj poważnie:

— Wracając do naszego interesu, pan Granów każdego dnia gotów jest wyliczyć mi 500,000 tal.. Wszakże ci to sam wczoraj powiedział mój Jerzy?

— Nie chcąc zrobić radcy handlowemu tego ustępstwa żebym skłamał, i nie chcąc znowu radcy prawnemu zrobić téj przyjemności, żeby prawdę powiedzieć na co czychał tylko, wstałem i powiedziałem, że już zapewne nie jestem im potrzebny i pójdę do swego pokoju, bo mam jeszcze pilną robotę.

— Zostań, zostań, odezwał się pan radca; — mam jeszcze wiele z tobą do pomówienia. Co się nas tyczy stary przyjacielu, możesz sobie odjechać i powiedzieć księciu co chcesz. Gdybyś jednak powiedział, że nie mogliśmy w kopalni dać rady wodzie to wam przyślę Jerzego; on was lepiéj objaśni. Jedź z Bogiem kochany przyjacielu i powróć na obiad,' mam jeszcze kilka butelek Hochejmer, które tak lubisz ty stary łakotnisiu!

Trącając go ciągle pod bok, wypchnął go prawie za drzwi a potem szybko wróciwszy do mnie, rzekł z takim gniewem, że mu się twarz aż do skroni zaczerwieniła:

— A teraz powiedz mi otwarcie, czy chcesz pomagać przy sprzedaży, czy nie?

— Proszę mi naprzód odpowiedzieć, czy pan będziesz ze mną mówił innym tonem czy nie?

— Daj pokój twoim komedjom! Jesteśmy tu sami. Nie mam ochoty grać z tobą w ciuciubabkę! Rozumiesz mię pan?

— Wcale nie rozumiem, a przynajmniéj tylko tyle, że ani chwili dłużéj nie chcę być gościem człowieka, który nie wie jak trzeba z gośćmi we własnym domu obchodzić się.

Powiedziałem to na pozór spokojnie, ale wewnątrz wszystko wrzało we mnie. Myśl że moje wielkie plany z dymem pójdą, że moje, dopiero co poczęte nadzieje, podeptane zostały przez tego starego egoistę, wyprowadziła mnie z powściągliwości, to też ostatnie słowa musiały być z goryczą wymówione. Pan radca swojem delikatnem uchem dosłyszał widać, że stanął na granicy mojéj cierpliwości, bo kiedym już był przy drzwiach i za klamkę uchwyciłem, poczułem że mię ktoś ujął za tużurek i ujrzałem twarz panu radcy z takim niepokojem ku mnie skierowaną, że się musiałem roześmiać.

— No to dobrze. Śmiéj się złośniku i usiądź znowu. Tego by jeszcze brakowało żebyś ty ode mnie uciekł. Pięknąbym musiał dzisiaj zjeść zupę przy obiedzie. No, siadaj! Muszę koniecznie z tobą rozmówić się, jak ojciec z synem. Niebo nie dało mi syna, muszę go szukać gdzieindziéj, a gdzieindziéj nie chcą znosić mojéj gwałtowności chwilowéj.

Oddawna już przestałem się gniewać i pan radca mógłby był nie przemawiać do mnie tak żałośliwym tonem; ale jak zaczął tak kończył, spowiadając się ze wszystkiego, że dobra Zehrendorf dla tego kupił, żeby je potem ze znacznym zyskiem odsprzedać, że nadeszła ta chwila, bo bardzo potrzebuje pieniędzy, że mu powinienem dopomódz do sprzedaży, że ja to lepiéj rozumiem niż on sam, niż radca prawny i niż sam książe, który nie raz a dziś nawet jeszcze pisał do niego, że woli mnie mieć za porśednika niż radcę prawnego, który jest starym osłem.

— Bogiem a prawdą, jest to stary osieł! zakończył pan radca.

— Zkąd przyszła księciu do głowy myśl żeby ze mną się układać?

— Bo się zajmuje tobą jak wszyscy, ty wilkołaku! No gadaj! podejmujesz się?

— Panie radco—odpowiedziałem po chwili uporządkowawszy w głowie myśli, zrobię zadość pańskiemu życzeniu, chociaż wyznaję że mię to bardzo boli widząc jak Zehrendorf przejdzie w ręce innego pana, który może wszystko to, co tu już z takiem staraniem i kosztami wprowadzono, zarzuci i zrujnuje. Ludzie tutejsi wpadną jeszcze w większą nędzę niż wprzódy, bo pańskie przedsiębierstwa ściągnęły tu sporo robotników, którzy powiększą jeszcze ogólną biedę. Powiem przytem otwarcie, że nie mam pana wcale za tak dobrego pana jakiegobym sobie życzył dla Zehrendorfu, ale miałem nadzieję, że przez własny interes nie ustaniesz na drodze ulepszeń, i że w końcu potrafię pana przeciągnąć do moich widoków. Kiedy jednak potrzebujesz pan gwałtownie pieniędzy i musisz sprzedać Zehrendorf, pomogę panu do tego ale pod dwoma warunkami: po pierwsze, żebyś podał księciu korzystne dla pana ale słuszne warunki a nie przesadzał ceny, którąby książe przyjął, jeżeli się nie zna na tem albo ze wzgardą odrzucił jeżeli rozumie interes. Proszę pana jeszcze o chwilkę cierpliwości! Powtóre, jak tylko odbierzesz pieniądze, zaraz bez zwłoki rozszerzysz fabrykę podług mojego planu i dasz mi do ręki potrzebne na to fundusze.

— Czyś zwarjował! krzyknął radca. W moim własnym domu takie rzeczy w oczy mi mówić, jakbyś był baszą o trzech buńczukach a nie...

— Najniższym sługą pana radcy, przerwałem mu wstawszy i kłaniając się.

— Żartujesz ze mnie czy co? Gadasz że odejdziesz a stoisz.

— A pan wiesz że mam słuszność, a po co krzyczysz?

— Przecież sto razy ci już mówiłem, że pieniędzy na co innego potrzebuję, i dla tego sprzedaję Zehrendorf.

— Wiesz panie radco co mi teraz przyszło do głowy? odrzekłem patrząc mu prosto w oczy. Oto żeś pan nie taki bogaty za jakiego pana mają.

— A ty wilkołaku, ty papugo, ty humorystyczny diable! Może w końcu powiesz że buty co je mam na nogach są ukradzione? Pożycz mi na parę dni pięć talarów, ty bogaczu!

— Kiedyś pan taki bogaty, to powiedz pan: Tak! i interes skończony.

Trzymałem go za rękę, którą w dłoń moją uderzył i śmiał się ciągle.

— A zatem interes skończony? zapytałem się zaledwie oddychając.

— Skończony! odpowiedział — odetchnąłem.

— Pamiętaj pan że potrafię upomnieć się o pańskie słowo!

— A ja o ciebie: gdybyś mi nie był potrzebnym, czy bym sobie zadawał z tobą tyle ambarasu. Aj! aj!

Zapewne ze wzruszenia ścisnąłem za mocno rękę pana radcy, bo krzyknął z bólu i wykrzywił twarz:

— A ty żelazny człowieku, ty wilkołaku! zawołał i zaczął mię pieścią po boku trącać aż wreszcie wyparował mię za drzwi, zupełnie tak samo jak pana radcę prawnego.

ROZDZIAŁ XIV.

Cały czas do obiadu miałem pracować nad wykończeniem obrachunku do ustawienia machiny, ale myśl ze jestem prawie pewny przywiedzenia do skutku moich planów w fabryce zawróciła mi głowę. Widziałem już na placu, gdzie mieszkałem, stojące obszerne budynki, widziałem ogromne kominy parowe, widziałem gorejące ogniska i mnóstwo robotników odchodzących od pracy do ładnych i czystych domków, w których spokojnie po pracy odpoczywają. Niedokończony dom gdzie mieszkałem stał się willą a przed nią stał tryton wybuchający wodę, która spadała do sadzawki gdzie znowu złote rybki pływały. W téj chwili pouciekały, bo dwoje ludzi stanęło nad sadzawką, uciekając połamały w zmarszczki wodę i zaledwie dojrzeć mogłem niebieskie oczy i koralowe usta, ale nie byłem pewny czy w oczach jest nienawiść czy miłość, czy wargi zacisnęły się do wzgardy czy do pocałunku.

— Wszystko już przyrządzone, panie inżynierze, rzekł Wilhelm. Czy mogę panu pomódz przy ubieraniu się?

Wilhelm miał zwyczaj co dzień mi usługi swoje ofiarować chociaż ich nigdy nie potrzebowałem, dziś jednak nie dał się odprawić, tak starannie czyścił na mnie tużurek że musiałem w końcu zapytać się, czy nie ma znowu jakiego interesu do mnie.

— Nie! Ale pan był tak dobrym dla mnie, przez pana utrzymałem się na miejscu, bo pan radca nie miał zupełnie racji! Jeżeli pije szampańskie, to...

— Nie mówmy o tem!

— Ja też chciałem tylko panu powiedzieć, że i dziś strasznie się pokłócili i słyszałem wyraźnie...

— Ale ja nic nie chcę słyszeć!

— Czy pan temu będzie co winien jeżeli ja panu koniecznie powiem, jak ja nie byłem winien żem słyszał bo drzwi były otwarte. Słyszałem jak jaśnie panna mówiła, że nigdy panu tego nie przebaczy!...

— Czy tak?

— A jaką miała wtedy minę!

— Więc nawet widziałeś?

— Drzwi były otwarte, tłukłem się talerzami ale jaśnie panna była tak rozgniewana... I wykrzywił twarz tak komicznie, żem się na głos roześmiał.

— Teraz to dobrze, mówił daléj, właśnie chciałem panu poradzić, żeby pan tego do serca nie brał, śmiech najlepszy na to.

A sam westchnął ciężko i spoglądał na mnie błagającym wzrokiem.

— Cóż tam jeszcze? odezwałem się.

— Oto proszę pana... pan wie już... gdyby pan raczył wstawić się za mną, za Ludwiką.. Czekamy już sześć lat... Cierpliwości już brakuje... Pan masz tu wszystkich w ręku, panie inżynierze.

— Zwarjowałeś mój kochany! zawołałem i wyszedłem z pokoju.

Wilhelm prawdę powiedział, przekonałem się o tem przy obiedzie. Towarzystwo było nieliczne, oprócz Artura, który mię serdecznie uściskał, sami domowi. Obie Eleonory prowadziły się pod rękę ubrane biało jak aniołki. Hermina kazała na siebie czekać, radca wziął mię na bok i powiedział, że książe wyraźnie oświadczył, że przedewszystkiem chce być spokojnym o kopalnie wapna nim interes skończy, dla tego przyśle po obiedzie powóz, żebym do Rossowa do niego się udał i rzecz objaśnił.

Nie miałem czasu odpowiedzieć na te nieszczególne nowiny, bo Hermina weszła, widziałem wyraźnie że płakała, chociaż udawała bardzo wesołą. Dzień taki piękny! jutro będzie jeszcze piękniejszy, a tak spacer ku morzu ślicznie się uda. Towarzystwo wyborowe, sami młodzi, nikogo starego nie bierze się. Po obiedzie udamy się do Trantowitz i zabierzemy Jana, potem około piątéj na morzu wieczerza przy świetle księżyca, powrót przez las, a na zakończenie herbata i poncz a może i tańce dla najgrzeczniejszych.

— Brawo, brawo! to śliczny, zachwycający plan! krzyknął Artur klaszcząc z całych sił.

— Wiedziałam że ci się spodoba, kochany Arturze! odezwała się Hermina uśmiechając się do mojego przyjaciela i podając mu przez stół rękę, bo znasz się na takich rzeczach, rachuję też najwięcéj na ciebie.

— Na pana nie rachowałam! rzekła obracając się szybko ku mnie.

— Ja też o tem ani na jedną chwilkę nie pomyślałem, panno Hermino, odpowiedziałem.

— Dla tego to właśnie nie można na pana rachować. Pan o takich rzeczach nie myślisz, naturalnie! Tyle masz innych daleko ważniejszych rzeczy w głowie!

Hermina nie była nigdy dla mnie uprzedzającą, ale dzisiejsze jéj obejście było tak nieprzyjazne na pozór bez przyczyny, że wszystkich uderzyło, szczególniéj radcę skarbowego, urodzoną baronównę i Artura. Wszyscy troje spojrzeli na siebie jakby się ostrzegając, że trzeba kuć żelazo kiedy gorące. Ale Artur nie wiedział jak zacząć tę operację towarzyską, tylko śmiał się wdzięcznie do Herminy i kręcił sobie napoleonkę. I reszta towarzystwa zwróciła uwagę na ton głosu Herminy i wszyscy widzieli że się coś szczególnego w powietrzu dzieje. Panna Paulina od początku zaraz była pomięszaną i bladą, pan radca prawny wpatrzył się w półmisek z sałatą i bębnił po stole lewą ręką, panny Emilja i Eliza spoglądały na siebie znacząco a nawet Wilhelm stojący z serwetą na ręku przy kredensie, zamyślił się głęboko. Jeden tylko radca handlowy zajął się gorliwie swojem ulubionem winem Hochejmer i nie widział wcale, że całe towarzystwo w grobowe wpadło milczenie. Podniósł wreszcie oczy, i z najniewinniejszą w świecie minką rzekł:

— Proszę mi darować! O czem to mówiliście dopiero co?

Rozmaite odcienia i zarysy na obecnych twarzach stały się jeszcze wyraźniejszemi. Milczenie stało się jeszcze głębszem, kiedy drugi służący Jan nalewał wino, a Wilhelm odmieniał talerze, pan radca skarbowy nie bez drzenia w głosie, przemówił:

— Nasza kochana Herminka zrobiła uwagę, że przy zabawach tak ulubionych przez młodzież, nie można rachować na naszego przyjaciela Jerzego, bo on ma o czemś ważniejszem do myślenia.

Pan radca ponalewał własnemi rękami kosztowne wino mężczyznom, miał więc czas pomyślić co ma odpowiedzieć:

— Ważne rzeczy! Co za winko! Ważne rzeczy! Co za bukiet!

Ważne rzeczy! Zrobiliśmy dziś układ, on mi sprzeda Zehrendorf a ja mu kupię kawałek gruntu w Berlinie przy mojéj fabryce. Zdaje mi się że takie rzeczy każdemu by trochę w głowie uwięzły.

Zdziwiłem się bardzo, że pan radca tak otwarcie w obec wszystkich gości wypowiedział tajemną prawie naszą umowę, a szczególniéj w obec radcy prawnego, który będzie umiał z tego skorzystać i szkodzić. Była to wielka nieroztropność, któréj w tak przebiegłym człowieku nie mogłem pojąć, dla tego też zmięszany i rozgniewany zaczerwieniłem się po uszy.

Znowu zaległo głuche milczenie, twarze się rozmaicie ułożyły; oczy w różne strony były zwrócone. Na ten raz Hermina przerwała grobową ciszę:

— Czyliż ci nie mówiłam Emilio, że p. Hartwig jest zagorzałym arystokratą? Nie może tego znieść, żeby Zehrendorf był w innych, a nie staro szlacheckich rękach. Nie przystoi on dla takich jak my, plebejuszów. Co go to obchodzi że będziemy musieli opuścić miejsce, któreśmy w przeciągu siedmiu lat tak ukochali? Czyliż nam nie dosyć na tem, gdy gdziekolwiek żyjemy. Głos jéj drżał a powieki zaczerwieniły się, jakby im trudno było zatrzymać łzy. Cisza stała się jeszcze cichszą, niepotrzebnie tedy pan radca krzyczał tak głośno:

— A jednak tak będzie, nie inaczéj! Bog idzie przed panami! Nasz Jerzy myśli, że Bogu służy służąc temu, kto biednym robotnikom więcéj daje zarobku, a jeżeli źle myśli o panach to służba panom wydaje mu się jeszcze straszniejsza.

— Nie taka twoja dewiza, Arturze! odezwał się radca skarbowy.

— *Noblesse oblige*! zawołała urodzona.

— *Mon coeur aux dames*! rzekł Artur, kładąc rękę na piersiach i nachyliwszy się do swojéj kuzynki.

Pan radca prawny i jego damy nic nie mówiły, ale myślały sobie, że to są familijne sprawy, w które mięszać się nieprzyzwoicie by było.

Nastała znowu chwila milczenia. Dramatyczna sytuacja doszła widocznie do najwyższego naprężenia a skończyła się tem, że Wilhelm głośno kichnął, co jest niedarowanem brutalstwem w każdym, dobrze wytresowanym lokaju, że panna Bëte załamała ręce z rozpaczy i zaczęła historycznie szlochać, a Hermina podniosłszy się przeprosiła towarzystwo, że musi z powodu mocnego bólu głowy, odejść do swego pokoju.

Zdaje mi się, że nikt w ten ból nie wierzył; mimo to Emilja i Eliza zerwały się z krzeseł i pobiegły na ratunek kochanéj przyjaciołce, ale Hermina uchwyciła za rękę guwernantkę i opuściła salę z uśmiechem na ustach, którym wszystkich obdzieliła wyjąwszy mnie; nie spojrzała nawet na mnie, jakby mię tu wcale nie było. Nikt też nie przemówił do mnie ani słowa, nikt na mnie nie patrzał. Nigdy tego nie zapomnę, że właśnie w téj chwili zbliżył się do mnie Wilhelm i rzekł głośno:

— Może pan inżynier pozwoli jeszcze kieliszek Hochejmer. Wypiłem cały kieliszek pomału, smakując wino jak znawca. Robiłem co mogłem żeby nie pokazać wzruszenia, które mi bardzo dokuczało. Nie jest to bardzo zwyczajna rzecz, być w ten sposób wyróżnianym przez młodą dziewicę w obec całego towarzystwa. Na moje szczęście całe towarzystwo wkrótce się rozeszło, a ja udałem się do kopalni, żeby na otwartem powietrzu zapalić cygaro i rozmyślać nad tem co mię spotkało.

Jedna rzecz była dla mnie zupełnie jasną, wszyscy widząc że przegrałem sprawę, pozwolili mi jak najobojętniéj upaść. Że rodzice Artura i on sam mieli jeszcze nadzieję pozyskania ręki Herminy, że wszystkie ich nadskakiwania i pochlebstwa były obłudnym fałszem; że radca prawny i jego damy płynęły z wodą; o tem wszystkiem wiedziałem dobrze.

Ale pan radca handlowy! pan radca! Czyż to nie wyglądało na to, że on sam wywołał tę scenę przy stole a przynajmniéj pozwolił jéj zajść tak daleko? Umiał aż nadto zmieniać rozmowę skoro mu jéj kierunek nie przypadał do smaku. Jeżeli mu moja pomoc do sprzedania Zehrendorfu była tak potrzebną, to dla czego przed czasem powiedział o tem Herminie? Dla czego wiedząc że ten projekt tak ją mocno drażni, wystawił mię przed nią jako głównego sprawcę i poplecznika w tym interesie. Dla czego związanego, rzucił na pastwę jéj gniewu? Czy chciał siebie zasłonić mną? To bardzo było do niego podobnem. Czy może był to znowu ów manewr atramentnika, żeby się zakryć i nie dać ująć? Udać że nic nie wie co się około niego dzieje, jak nie wiedział że już od pół roku w jego fabryce pracowałem. A czy to przypadkiem tylko postawił swojego młodego przyjaciela, w tak drażliwem względem własnéj córki położeniu? Jednem słowem czy nie igrał ze mną tak samo, jak igrała Hermina zaraz od pierwszego dnia mojego przyjazdu do Zehrendorfu?... Kiedym doszedł do tego ostatniego pytania, krew rzuciła mi się do głowy. Tak mi dotąd było łatwo przebaczać urazy, że mię zwykle nazywano człowiekiem bez krwi i żółci. Dla czegoż mię teraz obejście wszystkich tak rozdrażniło? Dla czego przypominałem sobie każdy ich ruch, każde słowo, każde spojrzenie? Dla czego teraz dusiło mię to, co dawniéj z taką obojętnością przyjmowałem. Wydało mi się żem odkrył w sobie jakąś nową żyłę, pełną czarnéj, żółciowéj krwi. Było to pierwsze przebudzenie się miłości własnéj, energiczne życzenia postawienia wysoko własnéj osoby, niepokój i wstyd przy tem dotkliwem poniżeniu, rozpaczne pragnienie zwycięztwa, które mię miało do celu doprowadzić!

Do jakiego celu? Do celu, którym sobie wytknął kiedy tu przybyłem! A może do innego jeszcze? A może do obu razem. Między temi myślami nie raz przychodziło mi do głowy, to co w Piśmie powiedziano: nie można razem służyć Bogu i mamonie!

Usiadłem na ławce w małéj dąbrowie. Było to śliczne miejsce i dzień był przepyszny; na drzewie igrała para pstrokatych dzięciołów, świat nie był tak zły i brzydki, krew zaczęła się we mnie uspakajać. Musiałem zasnąć bo widziałem przed sobą jakąś młodą kobiecą twarz, na któréj widać było i nienawiść i miłość. Kiedym się obudził widzenie zniknęło, ale za to doleciał do moich uszów głośny śmiech, wołanie, strzelanie z bicza, znowu jakieś proszące jęki a wreszcie przerażający krzyk, który

mię poderwał z ławki i na miejsce hałasu zaprowadził. Był to plac dosyć duży przeznaczony na ujeżdżalnię, gdzie ja sam przy pomocy stangreta Antoniego, starego kawalerzysty, uczyłem się jeździć na koniu, zwykle bardzo rano, bo Hermina zapalona amazonka, codzień przed obiadem mustrowała się po parę godzin. Powiedział mi nadto Antoni pod sekretem, że i panna Paulina na wyraźne żądanie jaśnie panny, uczyła się jeździć wierzchem, żeby mogły razem same jeździć konno na wizyty. Zaledwie uszom moim wierzyłem, a jednak przekonałem się zaraz że to prawda.

We środku ujeżdżalni stał Artur ciągle z bicza trzaskający: Hermina ciągle się śmiejąca i Antoni który nie wiedział kogo słuchać, czy Artura żeby się z miejsca nie ruszał, czy panny Pauliny, która go na wszystko zaklinała, żeby ją z konia zsadził. Zdaje mi się że musieli koniowi linkę popuścić, bo niedoświadczona amazonka, uchwyciła obiema rękami za szyję konia, który chcąc ją wysadzić z siodła, chował głowę między przednie nogi a tylnemi bezustannie wierzgał. Chociaż scena ta była niewypowiedzianie śmieszną nie chciałem jednak mojéj przyjaciółki w tak kłopotliwem położeniu zostawić. W kilku susach stanąłem przy niéj, wstrzymałem konia i zsadziłem ją. Chciałem ją jak najdelikatnéj na ziemi postawić, ale ona z przestrachu uchwyciła mię za szyję jak wprzód konia, i zemdlała w mojem objęciu. Przy innych okolicznościach sytuacja taka nie byłaby bez powabu, ale ponieważ ciężar mój był w tych latach że mógł już stać na własnych nogach, ponieważ obecni zamiast zlitować się nademną i uwolnić mię od tego brzemienia, zaczęli klaskać i śmiać się bez końca, zdawało mi się że wodniste oczy i żółte loki nie konieczne są bardzo urocze.

— Paulette, Paulette! mówiła Hermina — tyle razy cię przestrzegałam żebyś się go strzegła.

— Panno Bête! ściągnij pani dobrze munsztuk, wołał Artur.

— Chodźmy i zostawmy ich samych, odezwała się Hermina zapewne mają sobie wiele do powiedzenia.

I wszyscy pobiegli śmiejąc się na głos nawet poważny Antoni. Zostałem sam z panną Pauliną w objęciach, zawstydzony, zły i wściekły jakim nigdy jeszcze nie byłem, gdyby była blisko woda, byłbym ją z pewnością w nią wrzucił. Skoro śmiechy już do nas niedochodziły, moje brzemię odzyskało przytomność i puszczając szyję wyrzekło rozdzierającym głosem:

— Ryszardzie! jesteś moim zbawcą.

Ale Ryszard nie był wcale w humorze słuchania sentymentalnych oświadczeń guwernantki, Ryszard nie miał w sobie serca lwa, ale małe okrótne i próżne serca, dla tego pozwolił swojéj pupilli ześliznąć się na ziemię i stał przed nieszczęśliwą z zagniewanem okiem. Biedna pannica załamała ręce i wyszeptała cicho:

— Ryszardzie! nie rozpaczaj chociaż chmury na niebie, słońce zaswieci wkrótce dla ciebie!

— Panno Paulino, odezwałem się: nie chcę pani martwić, ale w téj chwili nie mam wcale ochoty do żartów, a tem mniéj żeby ze mnie żartowano. Racz więc pani darować...

Nie bez trudności wydobyłem ręce z jéj rąk, ale zaledwie uszedłem kilka kroków, kiedy usłyszałem za sobą tak żałośliwe szlochanie żem się obrócił. Biedaczka w zielonéj amazonce, któréj długi ogon wlókł się po ziemi jak wąż, miała na żółtych lokach pogięty kapelusz, który jéj opadł aż na nos.

— Kochana panno Paulino, chodź pani. Życzyłaś mi zresztą dobrze.

Wziąłem ją pod rękę i uprowadziłem z tego miejsca strachu, pocieszając jak mogłem. Kiedyśmy doszli do ławki, na któréj przed chwilą siedziałem, usadowiłem ją na niéj. Pomału uspokoiła się a podniosłszy na mnie zapłakane oczy rzekła:

— Jakże ci nagrodzę twoją dobroć wierny, szlachetny przyjacielu?

— Jeżeli pani ani słowa więcéj o tem nie wspomni, o téj smiesznéj komedji którą tu ze mną, tak długo, z obrazą Boga i ludzi odgrywają.

— Komedję! zawołała panna Bête, zatrzymując mię jedną ręką a drugą obcierając sobie chustką oczy. Potrzebujesz spokojności drogi Karolu: krew wre w tobie. Usiądź przy mnie; precz z temi gorączkowemi widziadłami!

Musiałem się roześmiać chociaż mi się śmiać nie chciało. Usiadłem.

— O mój drogi! mówiła panna Paulina; — jesteś dobry i mądry i znasz ludzi, czyż nie możesz zrozumieć téj dziewiczéj duszy, która tak jest jasną dla mnie jak to niebo nad nami.

— Jakże można zrozumieć tego, kto sam siebie nie rozumie?

— Mylisz się drogi przyjacielu, bierzesz bojaźliwe poruszanie skrzydłami téj wstydliwéj młodéj, kobiecéj duszy za chęć ucieczki, a bojaźliwy ten ptaszek na ciebie tylko spogląda, na ciebie jednego.

— Na miłość Boga i Wszystkich Świętych przestań już pani, bo oszaleję! Nie chcę już ani słowa więcéj słyszeć i niczemu nie wierzę, chociaż z własnych ust pani to słyszę.

— Ale uwierzysz!

Szyderczy śmiech wydarł się z mych piersi.

— Uwierzysz! powtórzyła — ale cierpliwości!

— Nie mam żadnéj cierpliwości!

— O co zakład mój kochany książe? rzekła i wyciągnęła do mnie swoją przezroczystą rękę. Opowiem ci historje już dawne, a jednak tak je mam w pamięci jakby wczoraj się zdarzyły. Serce twoje we łzach się rozpłynie, kiedy je, usłyszysz. Miała ośm lat kiedy się dowiedziała, że cię wsadzono do więzienia, płakała bez ustanku za tobą boś ją tak wysoko huśtał, wszystkie swoje lalki ponazywała nam i poumieszczała je w klatce papugi a stanąwszy przed nią szczebiotała: tu jest mój naukochańszy, co w więzieniu siedzi, a Żako jest dozorcą który go dziobie. Widząc boleść dziewczyny tak prozaiczną, jako jéj przewodniczka, jako staranny ogrodnik, obowiązaną byłam to dziwactwo prostackie, przerobić na wyższą poezję i opowiedziałam jéj historją Ryszarda Lwie Serce i Blandela wiernego minstrela, który go z cytrą w ręku szukał we wszystkich krajach aż wreszcie znalazł. Odtąd stałeś się dla niéj Ryszardem i nosiła ten obraz w sercu przez całe siedm lat, aż cię ujrzała bledszym niż dawniéj ale zawsze pięknym. Smiejesz się niedowiarku! Nie wiesz co to za djamentowa dusza w nie jednéj mieszka kobiecie. Siedm lat wydaje ci się wiecznością. Mój przyjacielu! ja znam serce które przez trzydzieści pięć lat kochało a kochało bez nadziei!

I dobra panna Bête zakryła sobie oczy chustką i zaczęła gorzko płakać. Uspokoiwszy się prędko mówiła daléj:

— Ale to nie należy do rzeczy, nie chcę twojego dobrego serca własnym losem zafrasowanego, obarczać tragedją innego żywota, dla którego przez okrótne nieporozumienie nie pozostało mi tylko cierpienie. Straszna noc! Nieporozumienie jest zgubą! I ona nie jest taką jaką się wydaje. Ileż razy klęcząc przedemną i ukrywszy twarz na mojem łonie, powtarzała że jéj najukochańszy wysoko nad nią się unosi jak słońce, że nie jest godną tak dobrego i walecznego męża. Dumną jest z ciebie! Ileż marzeń rozbudził w niéj list panny Wandy w którym opisała jéj twoje czyny w czasie strasznéj burzy, a kiedyś nas na parowcu uratował. stałeś się dla niéj jedynym na świecie człowiekiem. Jesteś jéj marzeniem, wszystko widzi w tobie i przez ciebie, ale ty tego nie widzisz. Czyliż nie uparła się żeby choć na obrazie mieć przed sobą swojego Ryszarda mimo gniewu ojca? Czyliż nie oddawała czci temu obrazowi, dla którego osobny pokój po wschodniemu ubrała, ten sam gdzie teraz mieszkasz, bo lepszego nie było już dla Ryszarda. Oddała mu go bez względu na to, co ludzie powiedzą a co prawda odradzałam jéj żeby tegò nie robiła. Swiat i ludzie nie zrozumieją jéj czystéj i wzniosłéj miłości, bo świat lubi oczerniać co jest jasnem — jest to wiekuista prawda. Ma i ona bolesne przykrości! nie łatwa to bowiem sprawa opierać się takiemu człowiekowi jak jéj ojciec. Nie chcę nic złego o nim mówić, bo bym nie wiedziała od czego zacząć i na czem skończyć. A jednak dokazała tego co się zdawało niemożliwem: tygrys korzy się przed jagnięciem!

— A tak! doświadczyłem tego dziś przy obiedzie!

— Nie przypominaj mi téj strasznéj godziny! Ależ i ona dowodzi jéj miłości! O nie śmiéj się z taką goryczą! Była to jéj najdroższa myśl żyć w tych miejscach ze swoim ukochanym Ryszardem! Co za boleść widzieć się wygnaną z tego raju i pomyślić że owym archaniołem z ognistym mieczem jest właśnie ten, który miał być panem w tym raju!

— Ale czyż to ja wyganiam ją ztąd? Jakże może mieć do mnie urazę kiedy wie dobrze, że to jest stałe życzenie i wola jéj ojca, który jak mi się zdaje, sam naumyślnie wywołał ową scenę przy obiedzie.

— Bardzo być może, któż potrafi zgłębić chytrość tego starca. Zdaje mi się nawet, że ona sama coś podobnego napomknęła, kiedyśmy przyszły do jéj pokoju.

— Co jednak dosyć dobrze wycierpiałyście!

— Mój drogi przyjacielu! śmieje się z zadraśnięcia ten kto niegdy nie był rannym. Wieleż to gorzkich chwil przecierpiałam dla niéj z uśmiechem na ustach.

— Nie każdemu jest dano, żeby się pozwolił cierpliwie dręczyć.

— I ja już wyczerpałam wszystkie siły, wszystkie moje próby ześlizgują się z tego cudackiego węża.

— Skończmy więc rozmowę bo muszę jechać do Rossowa.

— Ryszardzie, nie jedź do Rossowa! Nie pora na to wierz mi. Mam czasami wieszczego ducha Kassandry.

— Ja sam, dla wielu innych przyczyn niechętnie się tam udaję. Ale przyrzekłem radcy i muszę mu słowa dotrzymać. Niech tam mię inni sądzą jak chcą i niech się co chce stanie.

— Dumny jak hiszpan! Ale nie zawsze dumny zdobywa serce i rękę kobiety, i chytremu często się to udaje. Czy nie boisz się Artura?

— Kto się boi, ten ma nadzieję lub życzenie, a ja o ile wiem, nie mam ani tego ani owego.

Panna Paulina skoczyła przestraszona i kładąc ręce na moich ramionach rzekła:

— Mój Boże co ja słyszę? Jakto mam rozumieć? Nie kochasz jéj więc? Kochasz Wandę jakto jéj ciągle Artur powtarza.

Nie mogłem na tak drażliwe pytanie odpowiedzieć bo właśnie nadbiegł Wilhelm donosząc mi, że konie z Rossowa już od pół godziny czekają i że mię wszędzie szukał.

— Żegnam panią panno Bête.

— Zadnéj odpowiedzi? Ani słówka? zawołała guwernantka widocznie bardzo zmięszana.

— Oto jest moja odpowiedź, rzekłem pokazując na powóz. Kassandra widać nie wierzyła moim słowom, bo stała długo na miejscu z wzniesionemi do nieba oczami i rękami, jakby z tamtąd pomocy wzywała.

(d. c. n.)

Korespondencja z Paryża.

przez J. K.

Jakkolwiek teatra co do napływu publiczności zawsze się cieszą wielkiem powodzeniem, porzucimy je jednak aby przejść w dziedzinę oświaty publicznéj, która ze zmianami zaszłemi w całéj Francji, nowego nabrała życia, jak roślina usychająca z pragnienia, ożywiona nagle kroplami spadłego deszczu. Od lat kilku szczególna też na nią zwróconą została baczność, zrozumiano nareszcie, że pomyślność każdéj społeczności nie od jednostek ale od całéj massy zależy narodu, że jednostki choćby najpotężniejsze umysłowo, mogą wyrabiać mniéj więcéj zbawcze teorje, ale tylko massy wydobyte z ciemnicy, nadadzą im życie i wszczepią w rozwój swego organizmu. Za rozumnem tem pojęciem przyszło drugie, konieczności współudziału każdego bez wyjątku.

Stara to niezmiernie prawda, od lat jednak dopiero kilku nabrała prawa obywatelstwa i stała się obowiązującą. Za jéj to zbawiennym wpływem w tych latach kilku, stworzono nowych szkół bez współudziału rządu trzydzieści trzy tysiące i ustanowiono budżet na pół trzecia miljona franków. Oprócz tego urządzono szkoły wieczorne, do których w ciągu zimy uczęszczało blisko miljon osób z różnych stanów, a czterdzieści tysięcy nauczycieli wykładało rozmaite przedmioty, wtajemniczając słuchaczy w postęp rozwoju naukowego. W stosunku więc do ludności, cała niemal Francja zasiadła w szkolnych ławach, domagając się światła tak jéj skąpo dotąd udzielanego. Procent też zaraz nieumiejących ani pisać ani czytać przy poborze wojskowym zmniejszył się niezmiernie, tak że w niektórych miejscowościach wszyscy bez wyjątku posiadali tę umiejętność. Ogólny ten ruch nie mógł bez wpływu pozostać na korporacje przemysłowe i rzemieślnicze. Ludzie troskliwi o wzrost kunsztów i rzemiosł, własnemi środkami bez pomocy rządu zajęli się zakładaniem szkół specjalnych zastosowanych do każdego fachu oddzielnie, w których ustanowienie planu nauk i wybór nauczycieli sami dopełnili. Na początku bieżącego roku szkoły takie

otworzone zostały przez bronzowników, złotników i jubilerów. Oprócz niezbędnych wiadomości z nauk przyrodzonych, będzie tu wykładany historyczny rozwój każdego kunsztu i rzemiosła, wszystkie ulepszenia i ułatwienia stopniowo do nich wprowadzane, przyczyny upadku ich i podnoszenia się, wreszcie stan ich u najstarożytniejszych ludów i dziś na ziemi żyjących. Z takich szkół niektórzy uczniowie, kunsztom i rzemiosłom nadadzą nowe drogi, reszta stanie w rzędzie zdolnych wykonawców myśli swoich przewodników. Chwalebne to krzątanie się o własnych siłach, w którem Stanom amerykańskim pierwszeństwo należy, szczególniéj nabrało mocy po rozpatrzeniu się w dochodach i wydatkach państwa. Z niego przekonano się, że trzy czwarte dochodu zjada wojsko, dwór i procenta od długu, a czwarta zaledwie część idzie dopiero na zaspokojenie potrzeb handlu, komunikacji, przemysłu, rzemiosł, oświaty publicznéj, leśnictwa, rolnictwa, wymiaru sprawiedliwości, sztuk, nauk, bezpieczeństwa publicznego, słowem na wszystkie inne potrzeby państwa gospodarcze i cywilizacyjne. Rząd więc choćby chciał, w tworzenie nowych instytucji nawet najzbawienniejszych wdawać się nie może, sam naród musi o nich myśleć i tylko sam przez się może dochodzić do ogólnéj pomyślności, do usunięcia tego nienaturalnego stosunku w wydatkach.

Gdy jedni tak myślą o podnoszeniu strony umysłowéj narodu, drudzy zajmują się instytucjami mającemi na celu osłonę cielesną człowieka. Głównie mamy tu na myśli szpitale, w których odświeżanie powietrza szczególną zwróciło baczność uczonych francuzkich, zwłaszcza gdy bogaty fabrykant w Paryżu p. Reichenheim izraelita, przeznaczył miljon franków na wybudowanie szpitala dla chorych wszelkich wyznań, z wyraźnem jednak zastrzeżeniem, aby wprowadzone do niego zostały wszelkie ulepszenia do utrzymania w izbach chorych świeżego powietrza posługujące. Ciekawe z tego tytułu odbyło się posiedzenie w akademji paryzkiéj nauk.

Pan Deville jeden z członków wykazał, że miljardy zarodników znajdujących się w powietrzu, bujając swobodnie w jego ruchliwéj fali, wylęga się natychmiast jak tylko znajdą się w odpowiednich do tego warunkach. Dla owadów należących do familji *pediculus*, tym sprzyjającym warunkiem są wyziewy z chorych mające w sobie coś materjalnego, ujętnego. W powietrzu też szpitalnem wszędzie je wykryto, i one to porwane pędem powietrznym roznoszą po świecie choroby epidemiczne. Jedynym ratunkiem ochronienia ludzkości od ich szkodliwego wpływu, jest niszczenie owadów tych w głównem ich siedlisku, co radził uskuteczniać za pomocą przepuszczania powietrza wydobywającego się ze szpitali, przez siatkę drucianą rozpaloną do czerwoności. Tym sposobem wszystkie znajdujące się w nim żyjątka zostaną spalone, jak o tem przekonało dowodnie odbyte następujące doświadczenie.

Do naczynia napełnionego powietrzem przeprowadzonem przez rozpalone sito, włożono kawałek mięsa i ten przez kilka miesięcy został w niem bez żadnego znaku psucia się, w zwyczajnem zaś umieszczone mięso i tygodnia nie wytrzymało.

Przeciw rozumowaniu temu uczone ciało nic nie miało do nadmienienia, ale rzecz cała rozbiła się o zbyt wielkie koszta, jakie należałoby ponieść przy zastosowaniu tego środka na wielką skalę. Wyrachowano bowiem, że utrzymanie siatek w ciągłéj ciemnéj czerwoności, w zwyczajnéj wielkości szpitalu, kosztowałoby na dobę dwa tysiące franków. Nadto w całym Paryżu byłoby bezowocnem, jeżeliby w podobne przyrządy i szpitali całéj Francji nie zaopatrzono. Wreszcie choćby i to dopełniono, to owady *pediculos* napływałyby do Francji z innych krajów, gdyż powietrze płynie bez względu na rzeki, góry i granice. Projekt więc odrzucony został jako niepraktyczny, rozprawy jednak ważne rzuciły światło na naturę epidemicznych chorób, zwykle bardzo groźnych i chłonących krocie ofiar. W średnich wiekach było zwyczajem palić ognie w miejscach nawiedzionych zarazą, co i jeszcze się utrzymuje, jako mające niszczyć miazmata zaraźliwe zawieszone w powietrzu. Instynktowne to działanie dziś w nauce znalazło poparcie, miejmyż przeto nadzieję że nie będzie bezowocnem.

KILKA NOWSZYCH
NIEMIECKICH POWIEŚCI,
ZE WZGLĘDU ICH STOSUNKU
ZE STANEM SPOŁECZEŃSTWA.

(Dalszy ciąg.)

Od powieści Rozstajne drogi Lewina Schücking'a, o któréj poprzednio mówiliśmy, o wiele wyżéj stawiamy inną powieść tegoż samego autora, nazwiskiem *Zamek Dornegge czyli Szlaki szczęścia*. Natchnęło ją, jak się zdaje, jedno z najszlachetniejszych zaprzątnień naszego czasu, staranie około wykształcenia duchowéj niezawisłości człowieka, obrona praw jednostek pośród społeczeństwa. Bez wątpienia, zacna to i zbawienna praca wzmacniać samopoznanie tych jednostek, w obec coraz się wzmagającéj potęgi idei demokratycznéj w społecznym ustroju. Wszakże, już blisko lat czterdzieści temu, pisał o tem Michelet owe słowa pełne niepokoju: „Jakże drżącem i chwiejnem przedstawia mi się biedne światełko moralnéj niezawisłości, podczas gdy od wszystkich świata krańców wyje wicher namiętności, oraz pędzą sprzecznych zdań podmuchy... Czy może ono zagasnąć? Nigdy — zapewne nigdy. Musimy w to wierzyć i musimy powtarzać to sobie, inaczéj upadlibyśmy bezsilni i zrozpaczeni. Gdyby nie stało tego światła, nie daj nam Boże żyć dłużéj na ziemi!“ Potrzeba nam tedy przywiązywać się jak najmocniéj do tego uczucia swobody i osobistéj odpowiedzialności moralnéj, potrzeba nam umacniać je w sobie i ochraniać od grożących mu nieprzyjaciół. Najbystrzejsze umysły współczesne zgadzają się na to, że zarówno z politycznych jak z religijnych względów, w téj jedynie idei należy dziś szukać ratunku w naszych niedolach duchowych. Wszelako niezawisłość owa nie polega bynajmniéj na wyswobodzeniu człowieka z wszelkich więzów moralnych. Rzecz ma się owszem całkiem przeciwnie, albowiem prawdziwą oznaką niezawisłości ducha, jest poczucie obowiązku czyli rządzącego człowiekiem prawa i własnowolne poddanie się temuż prawu. Usiłowanie zaś stawienia własnéj godności po za obręb przyrodzonych jéj warunków, wypada koniecznie na krzywdę tejże godności, jaką bądź by była szlachetność owych wysileń. Dla lepszego uwydatnienia téj myśli, Lewin Schücking przedstawia nam młode dziewczę w zapasach wprawdzie szczytnych, ale więcéj jeszcze nierozważnych, kobieta bowiem bardziéj jeszcze od mężczyzny podlega warunkom i obowiązkom społecznym, z których nie wolno jéj się bezkarnie wyłamywać. Bohaterka powieści, Eugenia de Chateaudun, lekceważy te prawdy tak silne swą prostotą. Jest to dusza pełna męztwa, która pragnie saméj sobie swoje szczęście zawdzięczać. Osierociała od lat dziecinnych, chowana w klasztorze, Eugenia wypielęgnowała w głębi serca uczucie dumnéj niezawisłości, i kiedy, wróciwszy pod opiekę ojca widzi go blizkim ożenienia z kobietą niemal jéj wieku, opuszcza dom w którym czuje się odtąd całkiem obcą, i objąwszy w posiadanie majątek wynoszący do dziesięciu miljonów, postanawia snuć sama dalsze swe losy.

Ciąg opowiadania wprowadza nas do zamku Edern Wallburg, siedliska dawnéj rodziny, dziś nieco podupadłéj majątkowo, za to tem bardziéj przejętéj dumą rodową i chęcią odzyskania dawnéj świetności. Ku temu dążą wszystkie usiłowania hrabiny, usiłowania nie zawsze zacne, albowiem widzimy ją upierającą się przy prawach do spadku, który jak wie dobrze wcale się jéj nie należy. Hrabia, jest to człowiek potulny, tem łatwiejszy do prowadzenia, że już prawie całkiem zdziecinniał, hrabina tedy uosabia w sobie głowę rodziny, ona to kieruje wychowaniem syna i dwóch córek. Zaledwie nas autor zapoznał z tą rodziną, widzimy pojawiającą się wśród niéj młodą osobę, poleconą na nauczycielkę przez pewną przyjaciółkę hrabiny. Każdy od razu odgaduje w Annie Morell piękną i dumną Eugenię, która w swéj gorącéj miłości dla prawdy, zerwała z konwencjonalnym światem będącym jéj ojczyzną. Wszystko było jéj tam wstrętne i podejrzane, mogłaż być pewną przy swoich dostatkach, że kiedykolwiek napotka szczere i bezinteresowne przywiązanie? Myślą tą trując się nieustannie, z zazdrością spoglądała na uczciwe i pracowite ubóstwo. Tak jest, praca, nieustanny wysiłek, — to najcenniejsze dary żywota, to tylko bowiem co wysłużymy sami jest prawdziwą naszą własnością. O stokroć szczęśliwa cicha zasługa! stokroć szczęśliwa cnota ukryta! Takie to i tym podobne pobudki skłoniły pannę de Chateaudun do zmiany nazwiska na skromnem stanowisku: które obecnie zajmuje, czuje z rozkoszą że żyje, że jest istotą mającą duszę i sumienie nie zaś cackiem błyskotliwie od losu przystrojonem. Jeśli ją kto teraz pokocha, pokocha wartość jéj osobistą. Szlachetne to marzenia ale niestety tylko marzenia. Gdyby przedtem Eugenia mniéj uprzedzonem okiem w około siebie spojrzała, ujrzałaby się o wiele mniéj osamotniałą w tem społeczeństwie które znienawidziła, — w niem samem nieraz potrafiłaby znaleść podporę. Jest że nią owo dumne odosobnienie na które się skazało to młode serce, nieświadome życia warunków? Rzeczywistość zadaje niebawem kłamstwo marzeniom Eugenji, nowe jéj położenie rzuca ją w rozliczne trudności i niebezpieczeństwa, podczas gdy dąży ku dobremu, staje się mimowolną sprawczynią złego, wprowadza niepokój w niejedną rodzinę i wreszcie sama własne szczęście niweczy. Za wiele by nam tu zajął miejsca szczegółowy rozbiór tego opowiadania, kunsztownie z resztą i z wielce dramatycznem prowadzonego zajęciem, ku końcowi powieści widzimy Eugenię niemal upadającą pod brzemieniem własnych błędów i nierozwagi, — wszakże w chwili gdy już wszystko zdaje się dla niéj stracone, gdy sądzi że serce człowieka którego nigdy kochać nie przestała, nie ma już dla niéj innego uczucia nad pogardę, słyszymy jak tenże następne słowa z jéj powodu wygłasza:

„Nie — tak nie jest — kobieta to zbłąkana, ale nie upadła. Charakter jéj i postępki, są dla mnie całkiem jasne i usprawiedliwione. To co się stało, stać się musiało. Nie łudźmy się, — kobieta dzisiejsza niżéj stoi od dawniejszéj kobiety zeszłego wieku, kobiety których ognisko było polem walk szlachetnych ducha zapasów, kobiety kupiące w około siebie najwznioślejsze umysły swego czasu, znikły z pomiędzy nas najzupełniéj. Dzisiejsze zaś dwa tylko widzą zadania, — albo ująć w rękę sztandar ciemnoty i zabobonu, albo też, jak się to zdarza w wielkich cywilizacji ogniskach, stać się czemś daleko gorszem jeszcze. Tam to gdy je widzimy, jak dają przykład zbytku bez granic, związków w których serce nie ma żadnego udziału, jak wyzute z wszelkiéj myśli poważniejszéj bawią się bezwstydnie w naśladowanie powierzchowności i obejścia słynnych upadłych piękności, mówimy sobie z trwogą, że kobieta stoi dziś na straszliwéj pochyłości i że jeśli jakie nagłe wstrząśnienie jéj nie podniesie, osunie się stopniowo aż w samo dno tych ochydnych głębi, które opisuje Juwenalis w epoce Klaudjusza i Kaliguli. Jeśli zaś wznioślejszéj duszy kobieta sprobuje wyjść po za okres dwóch sfer wyżéj wskazanych, już wtedy po niéj. Nie przygotowana do walk ani wykształceniem umysłu, ani zahartowaniem ducha, ujrzy się bezsilną w obec prób, które na każdym kroku napotka. Wychowując ją, ukrywano przed nią tak starannie istotne warunki życia, że niedziw iż jest całkiem nieświadomą jego trudności i zasadzek. Podobnaż nie uszanować szlachetnych porywów, czystych pragnień które jéj każą szukać właściwych sobie szlaków? Jakbądź fałszywą może być droga którą obierze, nie przyniesie jéj to istotnéj ujmy. Komuż z nas nie przyszło kiedy powtórzyć słów Getego: „Jeśli dążysz ku prawdzie, przygotuj się na to że nieraz zbłądzisz.“ Powtórzy je i Eugenja, a także powie kiedyś: „Nikt z nas dobrym się nie stał, póki nie zapłakał.“

„Słuchająca tych słów kobieta, Eugenji przyjaciółka (która nie wątpiła o jéj zgubie), nic nie odpowiedziała. Dankmar zamilkł na chwilę, potem roztargniony i jakby mówiąc do siebie powtórzył: „Nikt z nas dobrym się nie stał, póki nie zapłakał.“

Surowe te słowa mieszczą w sobie niemało prawdy, jakkolwiek zdaniem naszem, autor zbyt mało miał na uwadze liczne wyjątki zasługujące w tym razie na uznanie. Wzniosłe i wybrane dusze napotykamy i dzisiaj, a powietrze które je owiewa, zdaje nam się w pewnym względzie i zdrowszem i czystszem od gorączkowych powiewów wieku ośmnastego. Nie bohaterek jak pani Roland potrzeba nam teraz, ale cichszych pracownic, coby się przyczyniały do umocnienia nieco zachwianego domowego ogniska i do podtrzymania zasad czci i miłości rodzinnéj. Pod

tym względem, sądzimy że ani Niemcy ani nawet Francja tak źle nie stoi jak by to wnosić można z opowiadań powieściopisarzy, niemniéj jednak nie mamy za złe krytykowi, jeźli presadą niejaką zaprawił swe nauki, dla dania im tem większéj i tem zbawienniejszéj siły.

Tyle o stronie moralnéj dzieła. Z kolei uznajmy staranność z jaką autor odwzorował niektóre postacie. I tak, osoba starego hrabiego nastręcza mu sposobność dowcipnego wyszydzenia dawnéj arystokracji. Wszakże satyra nie razi tu gwałtownością, raczéj to żywa i żartobliwa szermierka, w któréj ani się dopatrzeć nienawiści. Na wpół zdziecinniały ów potomek dawnego rodu, wybornie przedstawia ową niedzisiejszą już kastę, jak on zdziecinniałą i coraz uparciéj zacofaną. Nic zabawniejszego jak słyszeć go rozprawiającego o dawnych, o lepszych czasach. „Te czasy powrócą, powiada, nic pewniejszego. Sama ludzka natura musi to zdziałać. Ona to stanowiła podstawę dawnego społecznego ustroju. Proszę naprzykład wyobrazić sobie, coby było gdyby tylko trzech ludzi zostało na świecie? Oto jeden z nich pocznie schlebiać drugiemu i nazwie go, jaśnie panie, a potem zmówiwszy się z sobą obadwaj zmuszą trzeciego żeby dla nich pracował. Śmiejecie się z tego co powiadam? Doprawdy mówię to wcale nie żartem. Taką jest natura człowieka. Jeden używa, drugi ma sobie za obowiązek przekonywać pierwszego że ma prawo używania, a trzeci zmuszonym jest pracować w pocie czoła dla nich obu. Pan, mnich, poddany, oto świat cały. Jeśli mi nie wierzycie, zajrzyjcie do Biblji, macie tam zaraz na pierwszéj stronnicy trzech właśnie ludzi, Adama, Abla, Kaina. Adam, to patryarcha, książe, pan miłościwy, Abel przedstawia duchowną osobę, *fuit Abel pastor ovium*. Czyż w nim nie poznajecie pasterza owczarni wykładającego *prawo Boże* swym owieczkom? Co do Kaina, tego Pismo Święte zowie *Caïn agricola*, w nim widzimy rolnika, człowieka od pługa i cepa, skazanego na pracę nieustanną. Nie jestże tu wszystko w swoim porządku? Pan, mnich, poddany. Uważcież ile to rzeczy można się z dziejów nauczyć! Ale ten ladaco Kain dręczony jest niegodziwą zawiścią, wykrzykuje przeciw społecznym urządzeniom, wreszcie bierze oszczep w rękę i buntuje się na dobre, zwyczajnie — jakobin! Ale, *quos-ego*... Zobaczcie no jak go za to pokarał Bóg miłosierny,— pięknie też wyszedł na swojem zuchwalstwie! Wszystko co od niego pochodzi, Jabel, Jubal, Tubalkain, to sam lud ubogi, drobni mieszczanie, krawcy, szewcy, kowale, kiedy tymczasem potomstwo Adama, Seth, Enoch, Mathuzal, Noe, to patryarchowie, wodzowie, magnaci!“

Całkiem przeciwny typ nam przedstawia autor w postaci rozdrażnionego dziennikarza, walczącego w obronie dawnych zasad wszelką bronią nauki, z genialnem nieraz natchnieniem. Aż dnia pewnego, zażarty ów konserwatysta znagła ujęty wielkością nowożytnych idei, olśniony niemi, oszołomiony, przerzuca się w przeciwną ostateczność, druzgocze wszystko co przed chwilą ubóstwiał, nie wyłączając niczego, nie odróżniając rzeczy już zamarłych od tych które nigdy zginąć nie mogą, praw od przywileju, wiary od zabobonu, faryzeuszowskiéj bezbożności od wiekuistych prawd chrześcijańskiéj zasady. Typ ten mieści w sobie coś z Józefa de Maistre i z Bonalda, ale więcéj z Goerresa i z Hallera, albowiem przeważnie jest niemiecką ta postać w któréj zapał średniowieczny w ścisłem widzimy przymierzu z ultramontańskiemi namiętnościami. Czemże się stanie ów człowiek gdy raz uzna całą czczość swych teorji? Będzie odludkiem i materjalistą, poszuka schronienia przed walkami żywota w klasztornéj celi, i tam na szczycie Athosu streści swe nowe wyznanie w testamencie, który zapewne niemałą będzie przykrością dla jego dawnych przyjaciół. Obok tego obrazu niemieckiego romantyka, ateusza filozofa rzuconego rozczarowaniem w bezwzględne zwątpienie, Lewin Schücking nam ukazuje typ praktycznego, że tak powiemy ateusza, typ dosyć łatwy do napotkania wśród owych rozbitków arystokracji, życzącéj sobie aby wszystko razem z nią runęło. Jest nim hrabia Nesselbrock, wyznawca teorji Feuerbacha i Hirnera, Buchnera i Vogta, owych zasad których treść mieści się w następnéj maksymie: „Nie istnieje ani złe, ani dobre, ani cnoty ani przywary,—istnieją tylko siły.“ W wizerunkach i w szkicach które napotykamy na każdym kroku przebiegając z autorem powikłane ścieżki losów Eugenji, nieraz radzibyśmy znaleźć więcéj mocy lub wykończenia, w każdym razie niepodobna im odmówić wielkiéj trafności, pod tym więc względem dzieła Lewina Schücking pozostaną jednym z najbardziéj zajmujących świadectw stanu społeczeństwa swego czasu.

(d. c. n.)

Artykuł p. A. Nowosielskiego
O KWESTJI KOBIECÉJ

drukowany w Gazecie Polskiéj N. 126 i 127.

Gdybyśmy szczegółowo chcieli wykazać wszystkie sprzeczności pomieszczone w artykule powyżéj wymienionym, musielibyśmy bardzo wiele napisać, a przynajmniéj tyle ile potrzebował p. Nowosielski na dowodzenie w przedmiocie, którego pojęcie w niezmiernie szczupłych zamknął granicach. Jest to głos jakby ze średniowiecznéj odzywający się przeszłości, niby myślący i niby naukowy, ale z pod pleśni i stęchlizny, znać w nim szamotanie się ducha rozlubowanego w okowach, których rozbicie przestrasza go a następstwa przejmują niesłychaną grozą. Woła też na gwałt: świat się wali, społeczność upada! bo kobieta chce się uczyć, żeby była rozumną matką, i chce pracować żeby się zasłonić od nędzy i poniewierki, jeżeli w osamotnieniu przyjdzie jéj spędzić resztę żywota. W prawdzie milczenie byłoby właściwsze na podobne odezwy mogilnego zastoju, zwłaszcza że głównie pani Dobieszewska i pan Kaszewski są w nich obrabiani, pierwsza za prelekcję publiczną, drugi za artykuł pomieszczony w Kłosach, ale jest tam zaczepka i prassy naszéj perjodycznéj według wyrażenia autora, biorącéj na serjo to wszystko, co tylko wylęgło się gdziekolwiek w chorych głowach, wpadających w ekscentryczne bąki. Naturalnem następstwem takiego założenia, jest napaść na chętne przyswajanie zagranicznych idei i na społeczność amerykańską, główną że tak się wyrazimy fabrykę wszystkiego, co podnosi człowieka w jego godności, co przed polotem jego myśli usuwa wszystkie tamy, aby w pełnéj swobodzie mógł być pracownikiem w winnicy Pańskiéj i dążąc do postępu stawać się prawdziwym człowiekiem. Że nim jeszcze nie został mamyż go obrzucać pogardą? Roślina nim wyda ziarno ma różne przejścia, zmiany, dla nieświadomego wcale nieobiecujące: krzesząc ją obcinając lub wyrywając z korzeniem, można ją zniszczyć lub wyhodować dziwoląga o chudym nędznym plonie, ale nie o pełnym kłosie karmiącym chlebem ludzi. Autor jednak takiéj domaga się opieki, wszystko co ją utrudza przejmuje go niesłychaną grozą, a swoboda myśli i działania straszy jak dziecię, któremu zdjęto paski i kazano o własnych siłach szukać na nogach równowagi. Dziecię upada, tłucze guzy czasami krzykiem bólu straszy rodziców, ale jedyny to środek aby nauczyło się chodzić.

Powiada autor: *potrzeba chyba nie znać Ameryki żeby szukać w niéj dla siebie wzoru moralnego postępu. Ameryka jest zapewne wzorem pracy, wytrwałości, przemysłu bo dla niéj wytrwałość jest jedynym warunkiem życia, ale moralność, nauka, doświadczenie nie są wcale rzeczą tych kolonistów, improwizujących sobie naprędce jaką taką społeczność.*

Ustęp ten umyślnie drukujemy kursywą, jako małą próbkę sprzeczności szczodrze przez p. Nowosielskiego wygłoszonych. Ameryka więc jest wzorem pracy, wytrwałości i przemysłu, ale moralność jéj wadna, nauka licha, doświadczenie małe a społeczność jaka taka czyli słaba, ledwo że nie dzika i nie barbarzyńska. Na przekor więc uznanym prawdom, praca, wytrwałość i przemysł ujemnie oddziałały na społeczność amerykańską i nie tylko jéj nie podniosły ale przeciwnie, zepsuły, ogłupiły i utworzyły wątły zlepek gotowy rozpaść się jak budka z kart, za pierwszym podmuchem europejskiego chłopięcia.

W pracy zamyka się wszystko, zaród wszystkich cnót domowych i społecznych: w wytrwałości moc i niezłomna siła: w przemyśle potrzeba nauki i ta niezwalczona wola podnoszenia go zdobyczami w tajnikach wiedzy, i odbieranie z niego najwyższéj korzyści przez mądry układ społecznego porządku. Tam gdzie one panują, duch i materja w harmonijnym postępują rozwoju. Duch wspina się wpadając czasami w kolosalne ekscentryczności, materja tworzy kolosalne fortuny. Ekscentryczności giną przemieniając się w żyzną glebę dla myśli, z któréj wytryska prawda: fortuny roztapiają się na pożytki publicznego dobra i z pojedynczych Krezusów tworzy się jeden wielki — społeczność. Dzicz stepów amerykańskiego półwyspu nie zna tych wielkich motorów szczęśliwości ludzkiéj, niknie też i zginie bez śladu, bo takie prawo natury, przez pracę dążyć do moralnego udoskonalenia. Kto w pracy jest wzorem, będzie nim we wszystkiem, bo praca przeznaczeniem ludzi i ich godnością.

Niewłaściwie także pan Nowosielski artykułowi swemu nadał tytuł: *O kwestji kobiecéj*. U nas jéj nie ma i być nie może, rozprawy zaś dowodzące potrzeby wszechstronnego kształcenia kobiet, i rozszerzenia zakresu pracy zarobkowéj, nie są żadną kwestją, bo wprowadzone w wykonanie nie naruszają w niczem praw obowiązujących. Pragniemy kobiet światłych i rozumnych, bo matka jest pierwszą nauczycielką dziecięcia, owym siewcem Bożym co rzuca w jego serce nasionka wielkich cnót, pojęć i obowiązków, aby te wrósłszy w jego duszę dały światu nie karłów ale olbrzymów. Pragniemy także do igły i nauczycielstwa, jedynych dotąd zarobkowych warsztatów kobiet fortuną nieuposażonych, dodać i inne zajęcia zgodne z jéj usposobieniem i pociągiem wewnętrznym, bo tylko tym jedynie sposobem zdołają się ustrzedz błędnych dróg w młodości, zabezpieczyć się przed nędzą w starszych latach, i osamotnienie, gdy która na nie skazaną zostanie, zrobić mniéj przykrem i dolegliwem. Są to domagania się tak sprawiedliwe i rozumne, że dość być dobrym ojcem rodziny, dość być niezamożnym i mieć kilka córek niepewnych swéj przyszłości, aby pojąć ważność przewodnictwa światłéj matki i powiększenia liczby zajęć zarobkowych dla kobiet. Pan Nowosielski jednak krzywo patrzy na podobne usiłowania, rozwodzi deklamacje nad rozwiązaniem rodziny; nad utratą domowego ogniska, nad zdarciem anielskiéj szaty z kobiety i gniewa się na pana Kaszewskiego, że powiedział, iż poniżającem jest dla kobiety to, kiedy w niéj widzą samą tylko kobietę. Wdzięk, młodość, uroda mają tu swoje niemałe znaczenie, są one prześlicznym dodatkiem przy wykształconym umyśle i sercu miarkowanem rozumem. Same bez tych podstaw moralnych, mogą zachwycać i pociągać, mogą zdobywać podziw i uwielbienie i wtenczas rzeczywiście w kobiecie widzimy tylko kobietę i to do pewnego czasu, dla niektórych przynajmniéj może wystarczać. Ale gdy znikną, gdy czas z lic różanych zdmuchnie pyłek młodości i darząc je zmarszczką po zmarszczce, włos ubieli, twarz obchudzi i piękną niebiankę zmieni w zgrzybiałą staruszkę, cóż będzie dla niéj jedynym ratunkiem przed zapomnieniem, jeżeli nie to, aby była kobietą człowiekiem, to jest wykształconą, rozumną zarówno wiedzą jak i postrzeganiem społecznego życia. Nie zostanie zaś nią, jeżeli już w młodości nie będzie się o to starać, dla tego też nic nie może być bardziéj ubliżającego dla kobiety choćby najurodziwszéj, jeżeli w niéj nic więcéj nie widzimy tylko kobietę. Siostry podobnéj wyrzekłbym się, córki wyparł a każdéj innéj odmówiłbym choćby najmniejszych oznak życzliwości.

Powoływanie się na ukochane jakieś ideały, dowodzą tylko osobistych skłonności autora, jeżeli droga naszego żywota ich jest dziełem, to zbyt ciernista aby nie zażądać nowych ideałów według innych utworzonych warunków.

Pan Nowosielski lęka się, aby kobieta ucząc się i pracując nie zgubiła serca i nie zatraciła wiary: dziwna obawa! Więc tylko głupcy mogą wierzyć a próżniacy być sercowi? Przestraszają także p. Nowosielskiego wszelkie zmiany społeczne, bo woła z rozpaczą: ach! w społeczności w któréj wszystko się zmienia, niechże przynajmniéj kobiety pozostaną dla nas niezmienne. Najwięcéj jednak dostało się Amerykankom: dla nich nie ma autor najmniejszéj litości i powyciągawszy wszystkie ekscentryczności, bardzo naturalne w społeczności rozwijającéj się bez żadnéj przeszkody, chłoszcze je niemiłosiernie zapominając, że te same kobiety tak przez niego poniewierane, są matkami synów, tworzących nie *jaką taką* społeczność, ale państwo przed którego potęgą, Europa może schylić głowę. Nie mogąc zaś pogodzić się z panem Kaszewskim utrzymującym, że widzieć w kobiecie same tylko do zmysłów przemawiające wdzięki, przypadkowe, powierzchowne tylko dary młodości i piękności, upakarza i poniża kobietę, woła z rozpaczą: wdzięk to dusza, wdzięk też przykuwa do siebie duszę. Czyż i od dzieł sztuki będziemy wymagać nauki, żeby się nam podobały?

Wybornie! kobieta więc jest obrazkiem, posą-

giem, rzeźbą ale nie człowiekiem. Tak naucza Koran a poklaskuje mu roznieliwiały pasza wschodu, w bezczynnem rozmyślaniu trawiący lata swego żywota. Coś więcéj ubliżającego powiedzieć o kobiecie zdaje się niepodobieństwem.

W krótkiéj téj wzmiance o artykule p. Nowosielskiego, wyjęliśmy tylko kilka zdań na chybił trafił, ale i z nich można powziąść wyobrażenie, jak przedmiot pojęty i przedstawiony został przez autora. Głos ten smutkiem nas przejął a nawet pewną boleścią. Nauce, pracy stawiać tamę, jest to sprzeciwiać się powołaniu człowieka wskazanemu przez Opatrzność, jest to cofać ludzkość a nie podnosić.

NATALJA BORISÓWNA

DOŁGORUKOWA.

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

Wszedł Naryszkin i spokojnie, z godnością skłonił się Cesarzowi. Aleksander Lwowicz nie należał do żadnego stronnictwa gdyż wszelkie spory o pierwszeństwo, uważał za ubliżające jego godności. Od wstąpienia na tron Piotra I Naryszkinowie używali ciągle wielkich względów u dworu. Przy wszystkich uroczystościach szli oni razem z panującemi książętami Niemieckiemi i innymi; w ogóle ród Naryszkinów uważany był wyżéj nad wszystkie hrabiowskie i książęce w Rossyi.

Przez pewne pokrewieństwo, Aleksander Lwowicz, człowiek trochę szorstki, lecz szlachetny i zacny pozwalał sobie przemawiać do Cesarza z całą otwartością, i często wymawiał mu zabawy i zajęcia, niegodne jego wysokiego stanowiska.

— W jakim interesie raczył przyjść, szanowny Aleksander Lwowicz? zapytał Piotr niedbale i marszcząc lekko brwi.

— Przyszedłem złożyć moje uszanowanie Waszéj ces. mości zapytać o zdrowie i.....

— I cóż jeszcze? przerwał cesarz zwracając się ku niemu.

— I wypowiedzieć słowa prawdy, odpowiedział Naryszkin ze spokojną stałością.

— To będzie coś ciekawego! szyderczo dodał Piotr.

— Najjaśniejszy panie, nie obrażaj twego wiernego poddanego, rzekł Naryszkin z godnością.

— Ty, co się tyczy ciebie, Aleksandrze Lwowiczu, jesteś bardzo drażliwy, powiedział cesarz ostro. Jabym ci radził być takim i względem innych. Jeżeli nie chcesz aby ciebie obrażano to i ty nie obrażaj drugich.

— Nikogo nie obraziłem i nigdy nie obrażę niesłusznie, ale jako wasz krewny i wierny sługa, najjaśniejszy panie, nigdy nie przestanę i słowem i czynem prześladować tych, którzy pod pozorem przychylności wiodą i was i wasze państwo w przepaść odrzekł Naryszkin, rzucając z ukosa spojrzenie na kniazia Jana Aleksiejewicza.

— Cóż to znaczy? zawołał cesarz patrząc gniewnie na mówiącego. A wiesz ty, na co naraża cię twa zuchwałość?

— Dwóch śmierci nie ma, a jedna nikogo nie minie! Skaż mnie więc na śmierć, lecz prawdy nie zataję, powiedział Naryszkin skłaniając głową. Najjaśniejszy panie pamiętaj o wielkich obowiązkach, jakie ciężą na tobie! Ty myślisz nie o rządzeniu państwem, ale o zabawach i rozkoszy; dworacy twoi troszczą się nie o sławę i pożytek ojczyzny, ale o osobiste korzyści.

— Zuchwały! krzyknął Piotr.

— Pierwsi dostojnicy, mówił daléj Aleksander Lwowicz z wzrastającym zapałem, rozdzieleni zatargami i intrygami opuścili ster rządu i wystawili kraj na pastwę bezprawia... Ale Opatrzność czuwa nad Rossją! Bez względu na cały tak smutny stan rzeczy, są jeszcze ludzie wierni sumieniu, którzy brzydzą się zatargami i śmiało patrzą, najjaśniejszy panie, w twoje jasne oblicze, dla tego że ci ludzie, starają się jeszcze o ile możności utrzymać porządek...

— Mów, mów, daléj, rzekł Piotr konwulsyjnie przygryzając usta.

— Tak, naj. panie, będę mówił daléj, choćbym z ostatnim wyrazem miał tu śmierć ponieść na miejscu. Opamiętaj się naj. panie. Wycieczki twoje z Moskwy powtarzają się coraz częściéj, naród pragnie napatrzeć się na swego najdroższego władzcę, a ty najjaś: panie wyjeżdżasz z Moskwy na całe miesiące, podczas twéj nieobecności ani wiesz co się dzieje w twojem państwie.....

Piotr III był głęboko wzruszony. Być może iż wewnętrznie czuł sprawiedliwość słów Naryszkina. Cień smutku błysnął na jego obliczu. Aleksander Lwowicz zauważywszy wyraz twarzy młodego monarchy, pochwycił jego rękę i ucałował ją z zapałem:

— O! najjaś: panie! zawołał, gdybyś ty wiedział jak głęboką, jak szczerą miłością pała twój naród ku tobie. Gdybyś słyszał błogosławieństwa, o które bezustannie błaga niebiosa dla ciebie, ulitowałbyś się nad nim i okazałbyś się godnym następcą twego wielkiego dziada. Nie zapominaj, naj. panie, że nad tobą wznosi się duch nieśmiertelny, dobroczyńcy i ojca ruskiéj ziemi, który w twoich latach dawał już przykłady silnéj, niezłomnéj woli.

Słowa Naryszkina wywarły głębokie wrażenie na młodego cesarza. Na wspomnienie o wielkim dziadzie zakrył twarz rękami i dobra lecz słaba jego natura, wyraziła się w łzach gorących,

Kniaź Jan Aleksiejewicz pobladł, ale milczał; ogólny szacunek jakim otoczony był Naryszkin, budził w nim obawę.

Aleksander Lwowicz tryumfował. Chciał już mówić daléj, ażeby wywrzeć stanowczy wpływ na monarchę, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju kniaź Aleksy Grygorowicz, którego przychylni mu uwiadomili już o przybyciu Naryszkina.

Kniaź Aleksy rzucił z ukosa spojrzenie po wszystkich obecnych i pojął, że tu trzeba było zdobyć się na odwagę. Pomimo ograniczonego rozumu, kniaź Aleksy był bardzo biegły w dworskich intrygach i podstępach.

Naryszkin powiedział słowa prawdy,

Dołgorukow musiał się ucieć do pochlebstwa.

— Najjaś. panie! rzekł on, kłaniając się nizko cesarzowi, przychodzę po rozkazy.

Piotr odwrócił się żeby ukryć łzy szlachetne, których niestety! wstydził się w obec kniazia Aleksego.

— Najja. panie! rzekł Naryszkin rzucając dumne spojrzenie na swego przeciwnika, podobało się Bogu Najwyższemu włożyć w usta moje wyrazy, które wzruszyły zacne serce twoje; nie zagłuszaj tego świętego głosu sumienia i powiedz mi, czego mamy oczekiwać, czego się spodziewać?

— Potem, potem, Aleksandrze Lwowiczu, szybko odpowiedział Piotr. Dziękuję ci, dziękuję serdecznie za twą otwartość..: Ja pomyślę... zajmę się... pomówię... ale teraz, nie mam czasu.....

— Monarcha nie ma czasu zająć się szczęściem swoich poddanych! wyszeptał Naryszkin półgłosem.

— Naryszkinie! krzyknął Piotr unosząc się, ty nadużywasz mojéj pobłażliwości... ty mnie dręczysz.. Od ciebie słyszę tylko same przykre wiadomości.

— Uspokój się naj. panie! przemówił kniaź Aleksy z przymileniem, wiadomości jakie ja przynoszę w. c. mości są bardzo dobre; Bóg widocznie błogosławi panowaniu w. c. mości. Nieubłagani nasi wrogowie, Szwedzi, ukorzyli się i uroczyście uznali w. c. mość cesarzem. Przed urzędowem przedstawieniem całego stanu rzeczy, ośmielam się donieść w. c. mości, że Rossja pobudzona do nowego życia cesarzem — genjuszem, i szczęśliwie popchnięta ku celowi ulepszenia, zachowała całą swoją potęgę i ciągle posuwa się naprzód.

— O! jestem o tem przekonany, zawołał Piotr: czy słyszysz Aleksandrze Lwowiczu?

— Słyszę, naj: panie, byłoby tak rzeczywiście, gdyby dworski bezład i kłótnie znamienitszych panów, nie wstrząsnęły pomyślności Rossji w podstawach, jeszcze przez czas nie utrwalonych,

— Aleksandrze Lwowiczu racz posłuchać, rzekł Dołgoruki uśmiechając się z przymusem; dzięki Najwyższemu wszystko u nas w porządku i w spokoju. Pozwól najja: panie przedstawić krótki przegląd głównych punktów....

— Mów, mów! zawołał Piotr.

— W kraju Nadbałtyckim, nowo przyłączonym do Rossji spokojnie i wszystko idzie równym torem, ze strony Kurlandji, Litwy i Polski pokój nienaruszony; od południowéj granicy zacząwszy od Kijowa aż do Carycyna nad Wołgą, cała armja strzeże mieszkańców wsi i miasteczek Ukraińskich, od napadów koczujących ludów. Od strony Kaukazu nie ma także najmniejszego ruchu nieprzyjacielskiego. Co się tyczy saméj Rossji, to wszyscy błogosławią Boga za udzielaną nam ciągłą pomyślność. Oprócz tego Rossja znajduje się w przyjacielskich stosunkach ze wszystkiemi sąsiedniemi państwami. Czegóż więcéj potrzeba?

— Tak i czegóż chcesz więcéj! zawołał Piotr zwracając się do Naryszkina; ty mnie tylko martwisz twemi niesprawiedliwemi skargami.

Naryszkin smutnie kiwnął głową.

— Pięknie mówi kniaź Aleksy, ale nie mnie tego słuchać; odpowiedział. Długa była jego mowa — odpowiedź moja będzie krótszą. Nie przystoi korzystać z cudzych zasług. Kniaź Aleksy wcale się nie przyczynia do tego dobra, jakie się dzieje w naszéj ojczyznie kochanéj; jest ono owocem rozumu i działalności kilku ludzi, przez samego Boga wybranych, dla podtrzymania sławy Rossyi w nieszczęść godzinie!... Mężowie ci są Szuwałów, Gołowin, Czernyszew, Urusów, Panin, Gołowkin, Szachowski, Golicyn Buturlin, Strogonowie. Ależ powiedzcie, co zrobiła najwyższa rada państwa? Milczycie? To ja odpowiem za was, nic nie zrobiła, zupełnie nic!

— Aleksandrze Lwowiczu, przerwał kniaź Aleksy z przekąsem, wy obrażacie wysoką, świętą osobę...

— Nie ja, lecz wy obrażacie świętą osobę monarchy, z uniesieniem zawołał Naryszkin. A ja —ja mówię prawdę walczę i umrę za prawdę. Powiedźcie sami sumiennie, co robi najwyższa rada od chwili, jak cesarz nie bywa na posiedzeniach? Ona istnieje tylko z nazwiska. Posiedzenia rady przerwane, dla tego, że nie ma kto obradować, hrabia Apraksyn umarł, dotąd nie mianowano nikogo na jego miejsce; hrabia Gołowkin chory na podagrę, książe Golicyn obrażony nie chce już niczem się zajmować; baron Osterman, najdzielniejszy i najrozumniejszy członek widząc ogólne zamięszanie udaje chorego i stęka, kiedy przychodzą do niego o poradę w jakiéjkolwiek ważnéj sprawie; kniaź Bazyli Łukicz Dołgorukow, człowiek godny, lecz odurzony cesarskiemi łaskami niechce nawet słyszeć o radzie, a wy Aleksy Grygorowiczu... wy, ja sądzę, że już zapomnieliście i drogi do najwyższéj rady.

— Za pozwoleniem— przerwał kniaź Aleksy.

— Ale, gdzież wam się zajmować sprawami państwa; rzekł Naryszkin, gdy wy macie tyle własnych spraw!

— Ja zajmuję się nie mojemi sprawami, odpowiedział Aleksy Grygorowicz, ze źle tajoną złością, ale temi, jakie mi porucza mój najmiłościwszy monarcha...

— Tak urządzeniem łowów, lodowych gór...,

Piotr II uniósł się gniewem, tym bardziéj że jednocześnie kniaź Jan coś mu podszepnął.

— Aleksandrze Lwowiczu, dosyć tego! krzykuął Piotr, przekraczasz granice należnego szacunku. Nie sądź, a nie będziesz sądzonym. Chcesz mi dowieść twego poświęcenia, to dowiedź nie słowami lecz czynami.

— Jakiemi czynami, naj. panie? Na łowach nie bywałem... przerwał Naryszkin z gorzkim uśmiechem.

Oczy młodego monarchy zaiskrzyły się gniewem.

— Milcz, zuchwały! krzyknął; ani słowa więcéj, albo możesz się dowiedzieć co porabia Mienszyków!... Od dziś dnia nie waż się mieszkać w Moskwie, mieszkaj jeśli chcesz, w swoich dobrach niedaleko Moskwy, ale żyj spokojnie a nie, to strzeż się!...

Naryszkin smutno pokłonił się i chciał coś jeszcze przemówić...

— Milcz, milcz! krzyknął Piotr, tupnąwszy nogą.

Naryszkin milcząc ukłonił się i wyszedł z pokoju. Dołgorukowie zbliżyli się do cesarza.

— Naj. panie! rzekł Aleksy Grygorowicz z czułą troskliwością i obłudną łagodnością, nie gniewaj się na Aleksandra Lwowicza, on zmartwiony tem, że my cieszymy się wielką łaską w. c. mości, a zaślepiony gniewem chciał nam dokuczyć. Przebacz mu wspaniałomyślnie naj. panie.

— Ach! Jak on mnie rozdrażnił, zawołał Piotr i ze znużenia rzucił się na krzesło.

— W. c. mość potrzebuje teraz ruchu i świeżego powietrza odezwał się kniaź Jan.

— Rzeczywiście, rzekł Piotr szybko wstając, tak ruchu i powietrza. Na złość temu zuchwałemu Naryszkinowi pojadę właśnie na polowanie.

— Łowy są szlachetnem zajęciem, dodał Aleksy Dołgoruki, pradziad W. C. mości, świętéj pamięci cesarz Aleksy Michałowicz powtarzał: „Jeżeli będziecie myśliwemi, bawcie się rozweselajcie tą dobrą rozrywką, jest to sobie zabawka ucieszna, miła i wesoła, nie pozwala troskom i kłopotom brać góry nad nami.“

— Prawda! Jedźmy więc w pole, do lasu, lub gdziekolwiek.

— Do Iźmajłowa, rzekł kniaź Jan, a potem....

— Do Goreńek, żywo dodał kniaź Aleksy rzucając wymowne spojrzenie na syna.

— Wszystko mi jedno, gdziekolwiek, byle prędko! prędko! zawołał Piotr chcąc odegnać przykre wrażenie, wywołane słowami Naryszkina.

W kilka minut potem, cesarz otulony w kosztowną szubę w towarzystwie kniazia Aleksego z synem i kilku najbliższych dworaków wsiadał do bogato przybranych sani.

Starzec stojący nie daleko pałacu, nisko się pokłonił i gdy sanie przejeżdżały koło niego zdjął czapkę i głośno zawołał:

— Niech cię Bóg zachowa od wszelkich wypadków i nieszczęść, nasze jasne słońce, nasza nadziejo.

— Widzi W. C, mość, jak was kocha wasz naród, rzekł kniaź Aleksy.

Cesarz nic nie odpowiedział, był on zadumany. Ale zamyślenie to nie trwało długo. Za Moskwą była wyborna sanna, konie biegły z szybkością strzały, i tak jak za saniami rozlatały się płatki śniegu, tak też i rozwiewały się smutne myśli Piotra młodzieńca pełnego siły i pragnącego życia.

Tron. Imperatorowa!

Wieś Goreńki położona pod Moskwą należała do kniazia Aleksego Grygorowicza Dołgorukowa. Tam mieszkała cała jego rodzina, w wspaniałych pałacach rozkosznie urządzonych.

Ukoronowany młodzieniec polubił bardzo pobyt w Moskwie.

Rozległe lasy, otaczające w owym czasie to miasto, przedstawiały wiele dogodności do polowania i zapewniały obfite łowy, w których Piotr II tak dalece sobie upodobał, iż biegając lub jeżdżąc po polach i lasach, od poranku do późnego wieczoru często nawet i noce pod odkrytem przepędzał niebem, w namiotach rozbitych gdziekolwiek na skraju lasu. Godziny obiadowania i ciemna, głęboka noc, były jedyną chwilą wytchnienia.

Po skończeniu polowania, cesarz z całą swoją drużyną przyjechał do Goreńek, gdzie był zborny punkt całego towarzystwa myśliwych, które po większéj części składało się z członków rodziny Dołgorukich. W cesarskich łowach często także przyjmowali udział poseł austryjacki, hrabia Wratysław i starszy sekretarz jego poselstwa hrabia Mielezimo.

W tem wybranem kółku, w czasie wytwornego obiadu i ochoczéj rozmowy ze wszystkich ust płynęły pochwały zręczności cesarza i celności jego strzałów; przesadzano jego powodzenie i układano plany nowych zabaw. O sprawach państwa, o wielkich obowiązkach panującego nie wspomniano ani jednego słowa.

Ozdobą tego kółka zawsze wesołego, była córka Aleksego Grygorowicza, rodzona siostra Jana Aleksiejewicza, księżniczka Katarzyna Dołgorukówna. Była to piękność, w całem znaczeniu tego wyrazu! Kształtność jéj postaci, białość lica, delikatny rumieniec, ciemne i czarujące oczy zachwycały wszystkich.

Hrabia Mielezimo sekretarz austryjackiego poselstwa, pokochał całym sercem młodą księżniczkę i ona także nie była obojętną dla wykształconego i pięknego młodego człowieka. Lecz plany Dołgorukich wyżéj sięgały. Przykład Mienszykowa nie przestraszał ich ale i niczego nie nauczył.

Aleksy Grygorowicz przeczuwał, iż prędzéj lub późniéj zginie, dla tego, że łaski jakich używał, były oparte nie na żadnych ważnych zasługach, lecz zyskane tylko podstępami. Potrzebował więc tarczy, aby go broniła od niestałości losu. Za taką tarczę uważał on pokrewieństwo z cesarzem.

Słowa Naryszkina wywarły głębokie wrażenie na kniaziu Aleksym. Zrozumiał on, iż jeźli będzie zwłóczył to łatwo może zginąć. I dla tego uwiózł Piotra do siebie, do dóbr Goreńki.

Tam dokładał wszelkich starań, żeby zwrócić uwagę młodego cesarza, na swoją córkę.

Powiodło mu się. Początkowo Piotr uderzony pięknością księżniczki, zapomniał o swojem wysokiem stanowisku, zapomniał o wielkich obowiązkach i zwrócił wszystkie myśli do siostry swojego ulubieńca. Przeszło miesiąc bawił on w Goreńkach, tymczasem Moskwa z serdecznym niepokojem oczekiwała powrotu swego monarchy.

Nadszedł dzień 12 października dzień urodzin Piotra II. Dzień ten zwykle przepędzał cesarz w pośród swojego dworu i w pośród narodu; ale w 1729 roku, młody monarcha zaślepiony miłością nie opuścił Goreńek. Napróżno mieszkańcy Moskwy, oczekiwali na ukochanego cesarza, aby serdeczną radością i nieudanem weselem, okazać mu całą swoją przychylność i przywiązanie.

Ptotr II nie przyjeżdżał! Wypadek ten wywarł najboleśniejsze wrażenie na mieszkańców Moskwy i smutno, tęskno przepędzili oni dzień 12 Października....

Tymczasem cóż się działo w Goreńkach?

Kniaź Aleksy korzystał z tego czasu chytrze i zręcznie działając na umysł i serce Piotra, nie męczył go żadnemi nudnemi uwagami, ale przeciwnie odwodził od wszelkich poważnych zajęć. Stosownie do swoich planów, kniaź Aleksy, coraz bardziéj rozwijał w ukoronowanym młodzieńcu nienawiść do wszelkich, dobroczynnych nowych reform jego wielkiego dziada, wystawiając mu błogosławione stare obyczaje w najpowabniejszych obrazach — a przedewszystkiem usiłował odwieść Piotra II od związków z obcemi państwami.

Z początku Prussy starały się połączyć młodego władzcę z jedną ze swoich księżniczek, ale ten projekt spełzł na niczem. Potem daleko skuteczniéj działał cesarsko-austryjacki poseł hrabia Wratysław, na korzyść księżniczki Braunszwicko-Brewiernskiéj.

— Naj. panie! mówił do Piotra kniaź Aleksy, — związek przedstawiony W. C. mości przez hrabiego Wratysława nie może przyjść do skutku, nie odpowiedni godności cesarza... I po co zawierać śluby z cudzoziemką, dla któréj obcą jest nasza święta, prawosławna wiara i obyczaje? Przypomnij sobie naj. panie, zródło wszystkich nieszczęść waszego ojca carewicza Aleksego Piotrowicza! Czyż stosunki familijne z cudzoziemskim dworem nie były pierwszą ich przyczyną?...

Zręcznie działa hrabia Wratysław, ale pozwól naj. panie i mnie wiernemu poddanemu, dołożyć wszelkich starań aby odsunąć od twojéj świętéj osoby, nie już nieszczęścia ale najmniejszą nawet przykrość.

Te chytre słowa były tem skuteczniejsze gdyż serce młodego władzcy było głęboko przejęte pięknością księżniczki Katarzyny. Piotr zwlekał jeszcze pewien czas, ale nakoniec w początkach Listopada powróciwszy z polowania, w którem brała udział i księżniczka Katarzyna Aleksiejewna, udał się do pokoju kniazia, jéj ojca, który był wówczas słaby.

Wypytawszy się naprzód o zdrowie kniazia, cesarz ujął jego rękę.

— Kniaziu Aleksy, rzekł mam do ciebie prośbę...

— Prośbę naj. panie? Wymówił kniaź słabym głosem, nie z choroby lecz od wzruszenia, rozkazuj, najmniejsze twoje żądanie naj. panie jest dla mnie prawem.

— Nie, kniaziu, w tym razie nie mogę rozkazywać, spodziewam się tylko że mi nie odmówisz?

Chytry kniaź, od pierwszego słowa zrozumiał o co idzie, lecz udawał że nic nie pojmuje i podnosząc się na łóżku, rzekł.

— Naj. panie! racz rozkazać!

— Kniaziu, ja czuję głęboką miłość dla twéj córki i pragnę ją poślubić.

Radość niewysłowiona przejęła serce Dołgorukowa. Osięgnął swój cel. Z początku nie mógł ani słowa wymówić, potem zapomniawszy o chorobie, wyskoczył z łóżka, rzucił się do nóg młodemu monarsze i zaczął je całować.

— Naj. panie! zawołał przez cóż zasłużyliśmy na tak wielką łaskę? Nie wiem, jak wyrazić moją głęboką, serdeczną wdzięczność!...

— Więc się zgadzasz? rzekł Piotr z radością.

— Czy się zgadzam? Alboż kto odsuwa się od dobrodziejstw! O! naj. panie jam szczęśliwy bardzo szczęśliwy. Pozwól przywołać natychmiast Katarzynę niechże ona sama ucałuje rękę, którą ty wyciągasz do niéj tak wspaniałomyślnie....

Ubrawszy się jak najprędzéj, kniaź Aleksy pobiegł po córkę, przyprowadził ją przed cesarza i tu objawił jego zamiar. Księżniczka Katarzyna pobladła, zmięszała się i Bogu tylko wiadomo, co się działo wówczas w jéj sercu....

— Księżniczko, rzekł Piotr, ja proszę o twoją rękę. Katarzyna milcząc pochyliła głowę, w jéj oczach łzy zabłysły.

— Kocham cię prawdziwą miłością, mówił daléj cesarz, i pragnę cię uszczęśliwić.....

— Dziękuję naj. panie za łaskę któréj nie mogłam się spodziewać, zawołała Katarzyna, osuwając się na kolana i tłumiąc łkania, gwałtem wyrywające się z piersi.

— Wyniosę cię na tron.. będziesz Imperatorową!... rzekł Piotr.

I dźwięcznie i uroczyście zabrzmiały te słowa w uszach młodéj dziewicy.,.. Tysiące urojeń jedno nad drugie wspanialsze rozkoszniejsze — złudniejsze, przemknęło przed jéj oczami... Tron!... Imperatorowa....

W głowie księżniczki Katarzyny powstał zamęt. Łzy nagle oschły na rzęsach, oczy zabłysły ogniem i dumnie, wspaniale, z jasnym obliczem podniosła ona swoją śliczną głowę.

Tak w czasie wylewu w ogromnéj massie z wściekłością rozlewającéj się powodzi, niknie mały strumyk który orzeźwiał równinę i z cichem szmerem toczył się jasny i czysty po dnie piaszczystem.....

(d. c. n.)

Opis ryciny kolorowéj.

Figura 1. Suknia z popielatego wyrobu „sultan,“ przystrojona żółtemi falbanami i plisami także z wyrobu „sultan.“ Kapelusz popielaty słomkowy z czarną koronką, piórem i różą.

Figura 2. Suknia z lila batystu garnirowana tuniką i falbanami muślinowemi w lila paseczki. Kapelusz słomkowy podszyty lila materją. Pióro strusie.

Od Redakcji.

Z upływem bieżącego miesiąca kończy się Prenumerata na Tygodnik Mód kwartału drugiego r. b. Przypominając o tem upraszamy o wczesne przesyłanie należytości prenumeracyjnéj, gdyż jedynie tym tylko sposobem dalsze odbieranie naszego pisma, bez żadnéj przerwy może następować.

Warunki prenumeracyjne pozostają te same a mianowiecie:

w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop 80, z przesyłką pocztową Rs. 2 kop. 50.

Korespondencja.

Pani T. Hłu. N. 15 Tygodnika Mód powtórnie wysłanym został.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956* dom dawniéj *Krzemińskiego*.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami i rycina kolorowa paryzka.

Druk Karola Kowalewskiego. (Ulica Królewska N. 1066 k). Дозволено Цензурою. Redaktor J. K. Gregorowicz.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego dołączonego do N. 25 Tygod. Mód.

N. 12. Wzór na szlak krzyżową robotą. Szlak ten zarówno służyć może na meble, ławeczkę pod nogi, portierę i t. p. Ażeby różnobarwne kolory środkowéj rozety dobrze harmonizowały z matowem gobelinowem tłem, jakoteż z kolorami wijącéj się wstęgi, potrzeba starannie baczyć na dobór oznaczonych cieni. Gdyby szlak miał być użyty do mebli z jedwabnem obiciem, należy dwa cienie tła zrobić stosownie do obicia dobranym jedwabiem.

N. 13 — 18. Szydełkowe aplikacje.

Zwracamy uwagę naszych czytelniczek, na podane pod powyższemi numerami aplikacje szydełkowe, zarówno ładne jak łatwe do roboty, i bardzo modne do bielizny. Do gwiazdek tych brać trzeba jak najlepszą kręconą bawełnę i robić szydełkiem nie zbyt cienkiem.

N. 19 i 20. Dwa negliżyki muślinowe.

N. 19. Czepeczek negliżowy. Kwadrat muślinowy mający 20 cent. stanowi denko czepeczka. Spiczasty koniec kwadratu spadający z tyłu, przecina się wzdłuż na 9 cent. Przecięte brzegi obrębić wązko, oszyć wstawką koronkową 2 cent. szeroką i ogarnirować 2 i pół cent szeroką koronką. Poczem naszyć szlaczkiem haftowanym i ubrać 2 cent. szeroką atłasową wstążką. Ząb przedni zaokrągla się cokolwiek, trochę przymarszcza, przez środek długości podszywa paskiem muślinowym, dopasowywa trochę wypukło podług głowy i podszywa agremanem. Koło twarzy garniruje się ruszą muślinową oszytą wąziutką koronką; powyżéj idzie wstawka i szersza koronka, a środkiem dwa rzędy ruszy z wysiepanéj wstążki. Bandaże muślinowe wstawką i koronką oszyte.

N. 20. Czepeczek okrągły.

Denko okrągławe 42 cent. długie a 32 szerokie, cokolwiek przymarszczone z przodu, wszywa się w listewkę 44 cent. długą a 1 i pół szeroką, założoną w ząb nad środkiem czoła. Końce téj listewki powinny wystawać na 1 i pół cent. z każdéj strony i służyć do przyszycia szarf. Z tyłu denko podszywa się pliską i nawłóczy elastyką ażeby dobrze do głowy przystawało. Przystrojenie denka stanowi wstawka koronkowa, haftowana lub frywolitowa, 22 cent. długa i pięć gwiazd aplikowanych. Pod wstawką muślin powinien być wycięty. Dwa

N. 2. Stanik z wyłożeniem i bawetem. Krój i opis na dodatku N. VIII Fig. 25—28.

N. 1. Bluzka muślinowa. Krój i opis na dodatku N. III. Fig. 8—11

N. 3. Stanik z fałdowanym karokiem. Krój i opis na dodatku N. VIII. Fig. 25—28.

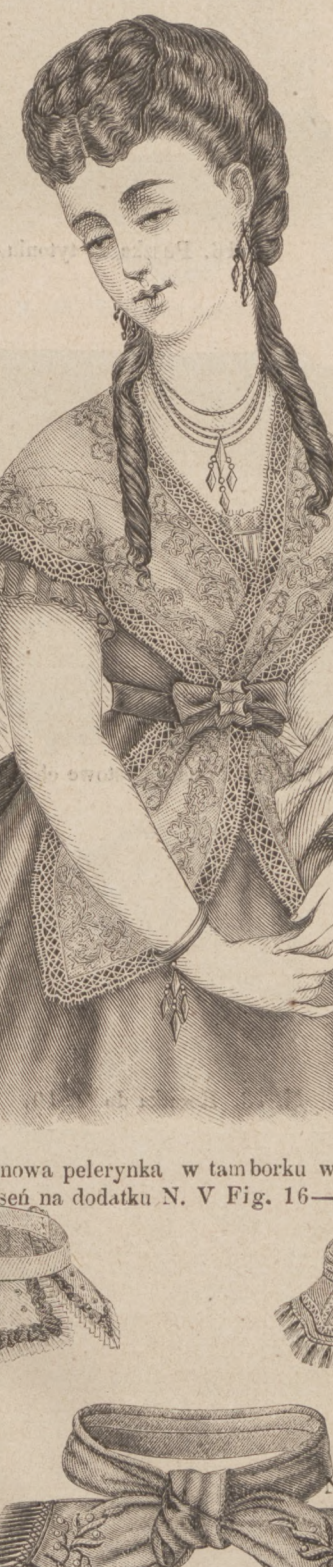

N. 4. Muślinowa pelerynka w tamborku wyszyta. Opis i deseń na dodatku N. V Fig. 16—17.

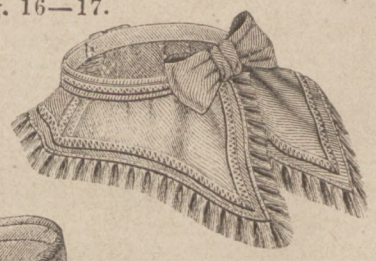

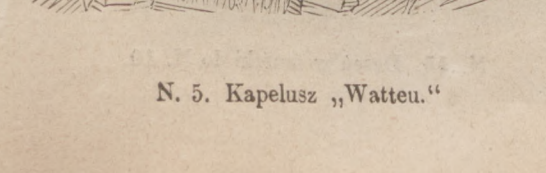

N. 7. Fałdowany karoczek. Krój i opis na dodatku N. IX Fig. 29 do 31.

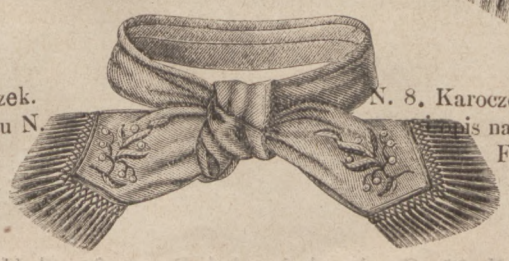

N. 8. Karoczek w zęby. Krój i opis na dodatku N. X. Fig. 32—33.

N. 5. Kapelusz „Watteu.“

N. 9. Krawatka jedwabna haftowana.

N. 6. Kapelusz wiązany pod brodą.

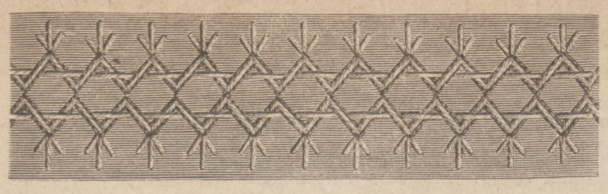

N. 11. Szlaczek do N. 10.

kawałki tejże wstawki 11 cent. długie koronką oszyte spadają od ogarnirowania na denko. Kokardy i końce z atłasowéj kolorowéj 2 cent. szerokiéj wstążki jakoteż rusze muślinowe koronką oszyte tworzą ogarnirowanie djademowe, którego układ rysunek wskazuje.

N. 21. Imitacja koronki irlandzkiéj.

Piękna ta koronka może służyć do przybrania jedwabnéj sukni, albo też w stosownéj wielkości odrobiona, na barbkę, bertę czepeczek i t. p. Czem cieńsze nici użyte będą do kratek tem piękniejszą będzie robota.

N. 22. Okrągła szmizetka.

Tło téj szmizetki stanowią dwa, u dołu zaokrąglone kawałki muślinu 17 cent. długie, a 8 i pół szerokie w górze do 7 cent. zwężone i podcięte tak, iż zachodzące na siebie środkowe brzegi mają 14 c. długości. Rysunek Nr. 22 dokładnie wskazuje w jaki sposób mają być wszyte koronkowe 1 i pół cent. szerokie wstawki i naszyta takiejże szerokości koroneczka.

N. 17. Kapelusz wiązany.

N. 23. Kwadratowa szmizetka.

Szmizetka ta z tyłu zapinana, powinna mieć w środku 25 a po bokach 30 cent. długości a 20 szerokości. Środkową zakładę stanowi wstawka koronkowa 2 i pół cent. szeroka podwleczona wstążką, oszyta 1 cent. szeroką marszczoną koronką. Za tą idzie muślin zaszyty w drobne zakładki, a nakoniec takaż sama wstawka podwleczona wstążką i garnirowana koronką.

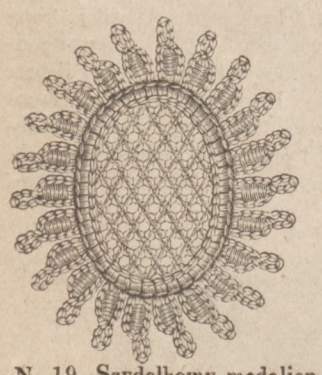

N. 19. Szydełkowy medaljon na tiulu.

N. 24 i 25. Dwa szlaczki z szydełkową aplikacją do szmizetek, czepeczków, kaftaników i t. d.

N. 24. Koronkowa wstawka z aplikacją.

Do wstawki tiulowéj lub koronkowéj dorabiają się ząbki szydełkowe, biorąc jedenaście razy w jedno oko wstawki, które poprzednio obwodzi się dla mocy grubszą nitką. Na środku każdego zęba pikot z trzech oczek dla zaokrąglenia, pomiędzy zębami jedno ścisłe oczko. W pośrodku ząbka u góry rzucik groszku płasko haftowany.

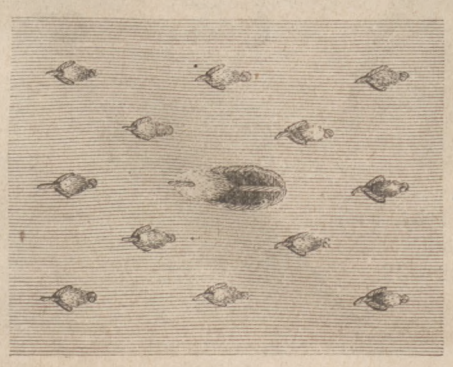

N. 14. Deseń w płomyki do N. 10.

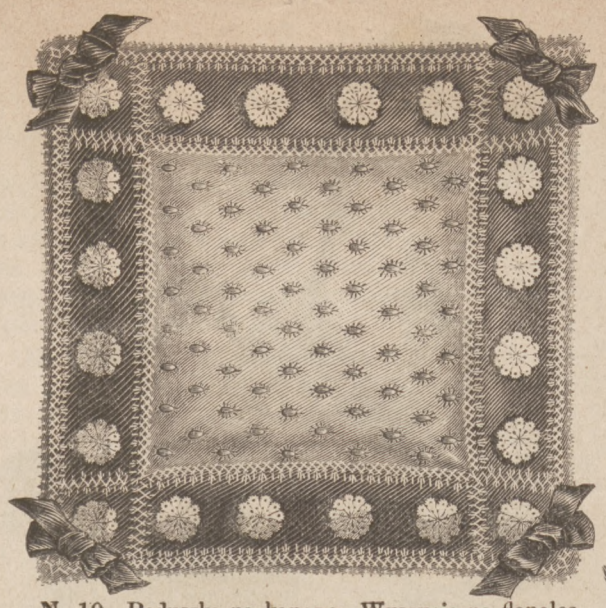

N. 10. Poduszka na kanapę. Wyszycie na flanelce.

N. 16. Puszka do tytoniu.

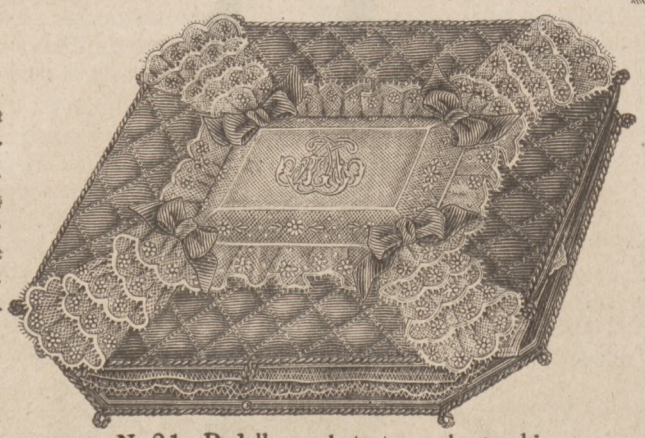

N. 21. Pudełko na batystowe chusteczki.

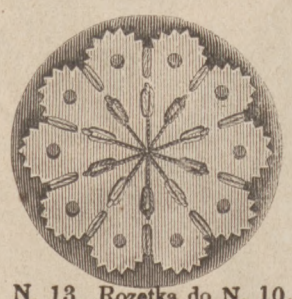

N. 13. Rozetka do N. 10.

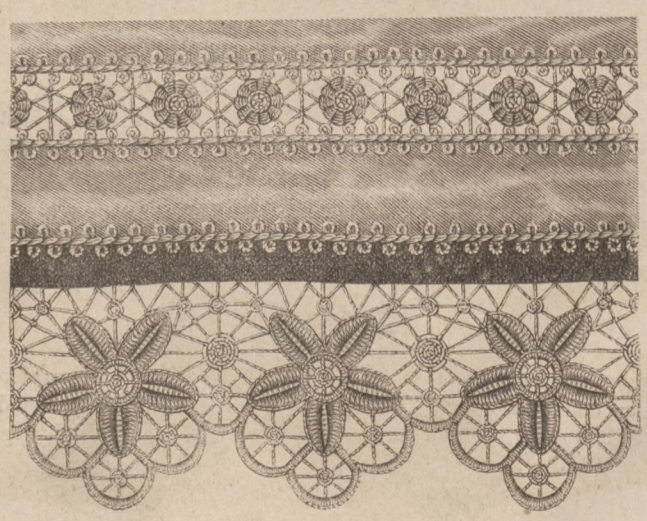

N. 22. Garnirunek do sukni. Do ryc. 2 w T. M. N. 27.

N. 12. Szlaczek wyszywany do N. 10.

N. 25. Walansienka lub tiulik z aplikacją szydełkową.

N. 26. Przedstawia garnirunek do sukni podanéj pod N. 27.

N. 27— 28. Suknia z wełnianéj piaskowéj materji przystrojona plisami, wyłogami brązowemi i frendzlą jedwabną w dwóch cieniach brązowych 2 i pół cent. szeroką. Stanik pod szyję zapinany na guziki z materji brązowéj, przybrany jakby kolnierzem brązowym, frendzlą oszytym, u dołu prosto, od środka w okrąg wyciętym. Kołnierz ten z tyłu powinien mieć 3 cent. szerokości a z przodu rozszerzać się aż do 9 cent. Wyłogi, plisy i kołnierz powinny być dwa razy piaskowym jedwabiem przystembnowane.

Rękawy wązkie u ręki mankietami ciemnemi ozdobione, mają w zwierzchnim śpiczastym końcu 11 cent. szerokości, przy dolnym zeszyciu tylko 5⅓ cent. Z pod mankietów dwie falbanki skośne jedna na drugą zachodzące, pierwsza od ręki ma 10 druga 8 cent. szerokości. Tunika nie rozcinana, z tyłu falbaną jasną i plisą ciemną oszyta, ciemnemi plisami i frendzlą przybrana. Karoczek widoczny na rycinie 28 stanowi najpierw prosty kawałek z tego co suknia materjału długi 31 a 60 cent. szeroki, skośną 3½ cent. szeroką brązową plisą obłożony i frendzlą oszyty. Karoczek u góry układa się w dwie szerokie kontrafaldy. Na to dają się dwie ciemne 8 cent. szerokie szarfy i 4 na dół spadające kokardy. Tak karoczek jak i wszystkie plisy, powinny być sztywnym muślinem podszyte. Garnirunek spódnicy niedotykającéj ziemi podany jest pod N. 26. Składa go od dołu jedna 14 cent. szeroka skośna falbana z nagłówkiem, nad tą o 11 cent. wyżéj, trzy jedna na drugą zachodzące 9 cent. szerokie falbany z których tylko najwyższa ma nagłówek.

N. 18. Okrągły kapelusz.

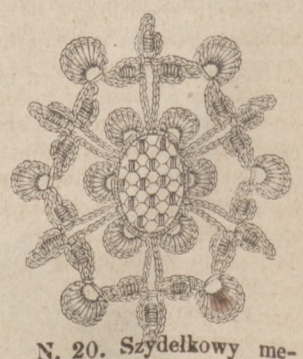

N. 20. Szydełkowy medaljon z listkami.

N. 15. Deseń w muszki do N. 10.

W równéj odległości pomiędzy i nad falbanami dwie ciemne 3 i pół cent. szerokie jasno stembnowane plisy.

N. 29 i 30. Okrągły wysoki kapelusz z woalką i bez woalki.

Wysoki z białego włosia kapelusz z odwijanem rondem, przybrany jest z przodu piórami i puklami z lila rypsowéj wstążki; takież końce wiążą się pod brodą. Nr. 29 ma dodaną dużą kwadratową czarną woalkę, która jednym rogiem na twarz jest spuszczona, a inne dużą śpilką upinają się zręcznie z tyłu głowy.

N. 31. Pelerynka muślinowa frywolitami garnirowana.

N. 32 i 33. Garnirunek frywolitowy do pelerynki muślinowéj.

N. 23. Szlafrok ściągany sznurami (przód). Krój i opis na dodatku N. I Fig. 1—5.

N. 33. Guzik w rodzaju staréj monety N. 31.

N. 25. But męzki na rano. Deseń na dodatku N. XV Fig. 52.

N. 27. Męzki kołnierzyk „Ecossais.“ Opis i krój na dodatku N. VI Fig. 22.

N. 24. Szlafrok szarfą przewiązany. Plecy do N. 23. Krój i opis na dodatku N. 1 fig. 1 — 5.

N. 28. Kołnierz męzki „Prince Imperial“ Krój i opis na dodatku N. VI. Fig. 18—19.

N. 29. Kołnierz „Cosmopolite.“ Krój i opis na dodatku N. VI. F. 20—21.

N. 34. Ubranie do teatru.

Suknia jedwabna z wyciętym stanikiem. Pelerynka biała muślinowa garnirowana karbowanemi falbankami, koronką i wstawką. Kapturek na głowę z białéj włóczki, przewleczony brzegiem kolorową wstążką z kokardą.

N. 1. Muślinowa bluzka z szerokiemi rękawami. Krój i opis na dodatku N. III Fig. 8—11.

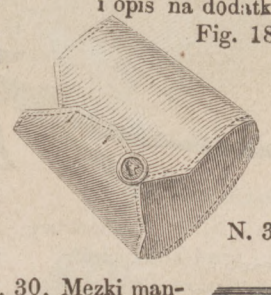

N. 38. Skórzany guzik.

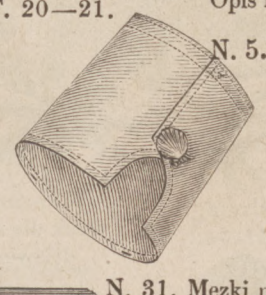

N. 30. Męzki mankiet. Krój i opis na dodatku N. VII Fig. 24.

N. 31. Męzki mankiet Krój i opis na dodatku N. VII. Fig. 23.

N. 4. Muślinowa pelerynka w tamborku wyszyta.

Opis i krój na dodatku N. II fiig. 6—7.

N. 5. Okrągły kapelusz „Watteau.“

Rondko słomianego kapelusza „Watteau“ z wysoką główką, z przodu diademowo, z tyłu mocno odwinięte, różowym aksamitem obciągnięte, otacza 4 cent. szeroka czarna koronka. Z pod rondka, przez główkę, idzie popielate pióro, z boku gałęź róż przytwierdza wielka kokarda z czarnego aksamitu zkończani na kok spadająca.

N. 35. Męzki krawat.

N. 2—3. Stanik pod szyję z bawetem i karoczkiem. Krój na dodatku N. VIII. F. 25—28

Bawety rozchodzące się lub do samego końca spinane, znowu zaczynają być modne. Podajemy dziś formę stanika z bawetem, który można nosić także z paskiem i karoczkiem, jak to widzimy na ryc. 3. Na ryc. 2 przedstawiony stanik z jasnéj materji ma krótki karoczek, a z przodu dwa rozchodzące się bawety; piękna kokarda z pukli, zdobi stanik w tyle. Garnirunek stanika pod szyję z fałdowanym karokiem (ryc. 3) stanowi frendzla i riusze z 4 cent. szerokiéj wysiepanéj pliski jedwabnéj w odmiennym kolorze. Na 20 do 30 cent. szerokiéj falbanie u dołu idzie riusza taka sama we dwa rzędy. Stanik robi się zwyczajnie pod szyję, lub podłużnie wycięty, podług fig. 25 — 28, w przodach można dać cieniutkie fiszbiny. Na rękawie zwyczajnéj wązkiéj formy, daje się buffę przy łokciu, na ryc. 3 takaż buffa dana w rodzaju epolecika. Z prostéj 20 cent. długiéj sztuki, w trzy kontrafaldy ułożony karoczek ryc. 3 ścina się ku przodowi i w szwie bocznym ginie. Siateczka z kwastem i kokardką obejmuje rozczesane na wzór elegantek paryzkich włosy, skarbowane z przodu. Fryzka muślinowa plisowana i mankietki, zdobią stanik i rękawy.

N. 6. Kapelusz pod brodę, z zielonego „vert de nil“ crépe de Chine, ma z przodu diadem ze stojących buf urządzony; wielka kokarda z szerokiemi końcami, przytwierdza egretkę białą z zielonem. Barba w koło twarzy dana z podwójnej kontrafałdowanéj riuszy i kokarda z lewéj strony, dopełniają całości.

N. 7. Okrągły fałdowany karoczek. Krój i opis na dodatku N. IX. Fig. 29—31.

N. 8. Koroczek w zęby. Krój i opis na dodatku N. X Fig. 32—33.

N. 34. Krawat męzki.

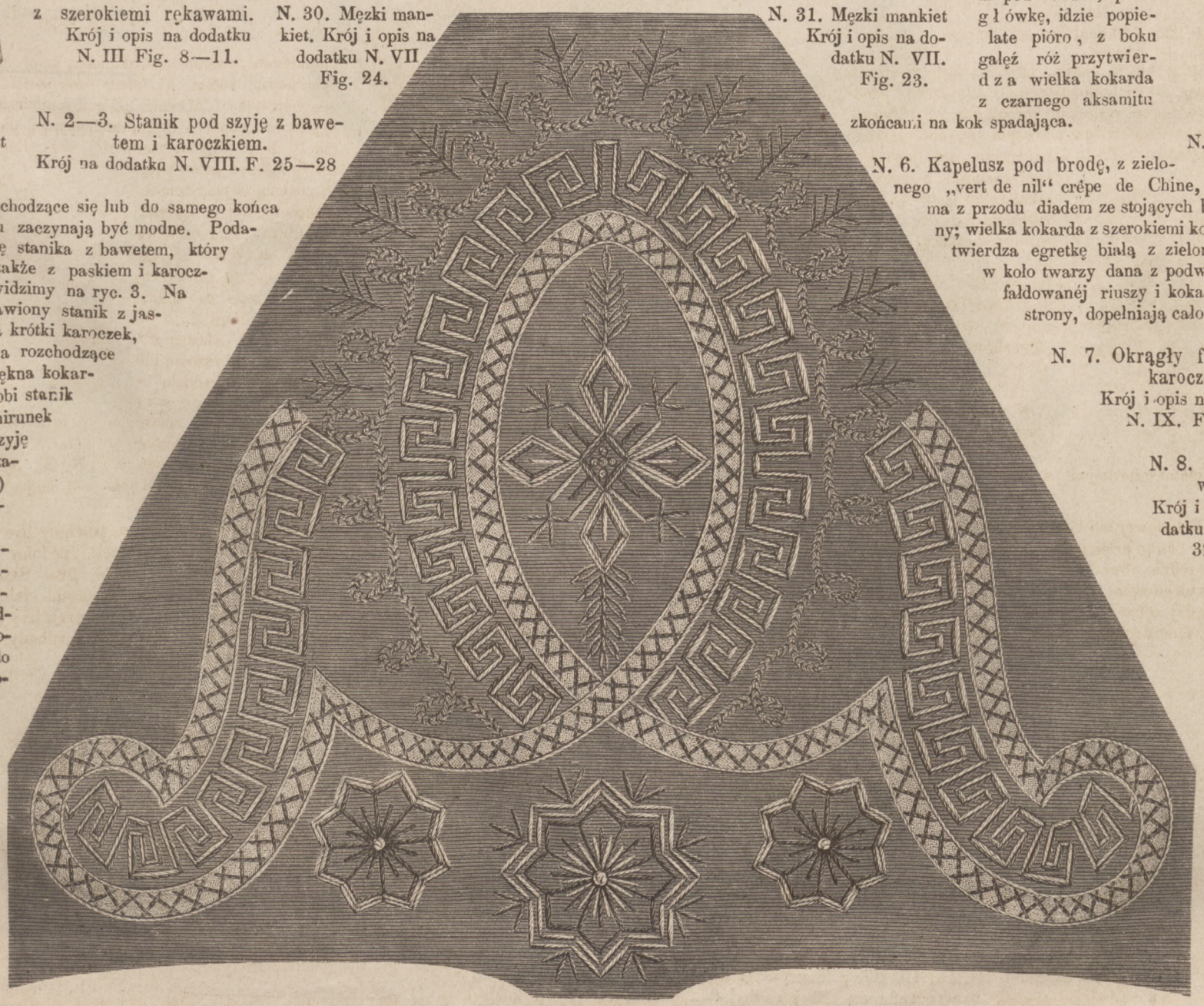

N. 26. Wyszycie przyszwy buta do N. 25.

N. 9. Krawatka atłaskiem wyszyta.

Rycina przedstawia modną krawatkę z „crêpe Iris“ noszoną na kapeluszu albo na szyję. Model 10 cent. długi 7 szeroki na ukośno ściętych rogach wyhaftowany jest w atłaskowe kolorowe bukiety; frendzla odpowiedniego koloru do tła 10 do 12 cent. długa, przyrabia się do

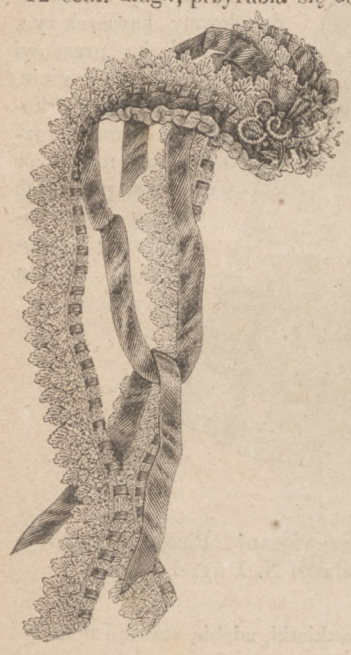

N. 36. Czepek z barbką.

brzegów na szerokość 1 cent. w koło obrębionych.

N. 10—15. Poduszka na kanapę.

Wyszycie na flanelce lub suknie.

Pokrycie na poduszkę z białéj flanelki wyszyte w czarne niby gronostajowe ogonki podług ryciny 14 i 15, 25—30 cent. w kwadrat wynosi. Każdy ogonek obszywa się na przemian czerwonym, zielonym, żółtym, fijołkowym i szafirowym jedwabiem. Jeden dłuższy ścieg odmiennego

N. 40. Tyrolski kapelusz dla małego chłopca.

N. 41. Toczek dla małéj dziewczynki.

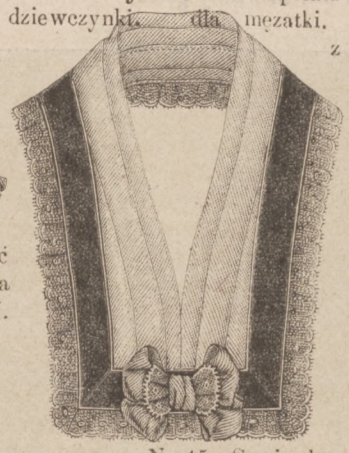

N. 42. Kapelusz dla mężatki.

N. 43. Słomkowy tyrolski kapelusz z woalem dla mężatki.

N. 44. Tyrolski słomkowy kapelusz dla mężatki.

N. 16. Puszka do tytoniu.

Na pąsowym kaszmirze wyszyty deseń turecki czarnym kordonkiem, stanowi pokrycie puszki drewnianéj 12 cent. wysokiéj, wykonanéj i wykończonéj z haftowanem pokryciem u stolarza.

N. 37. Czepek z welonem

N. 17. Kapelusz pod brodę.

Kapelusz bastowy biały pokryty na djademie czarną koronką i żółtą „Crêpe de chine“ w faldy ułożoną. W górze dana jest kokarda z Crêpe de Chine i wstążki odpowiedniéj ze spadającemi końcami z białym bukietem kwiatów, z srebrno-popielatemi liśćmi. Barbę z crêpe de Chine daną w koło, przytwierdzają haftki, ukryte pod kokardą.

Dokończenie objaśnień drzeworytów nastąpi w następnym dodatku N. 27.

N. 38. Liść do czepka N. 37. Spód.

N. 39. Liść do czepka N. 37. Wierzch.

N. 45. Szmizetka.

N. 46. Mankiet do N. 45.

cieniu, jako korzonek, ożywia robotę. Wyszycie z białego kordonku otacza tło w koło. Ryc. 11—12 podaje nam dwie próbki w odmiennych kolorach. Szlak brzeżny 5 cent. szeroki z pąsowéj flanelki ozdabiają rozetki z białéj flaneli, wycinane w dziurki i ząbeczki, podług próbki w naturalnéj wielkości pod ryc. 13 podanéj, wyszyte czarnemi, szafirowemi i oranżowemi ściegami. Podług opisanéj poduszki, urządzać można serwety i kołdry w pasy, lub kwadraty.

N. 47. Ubranie chłopca z kaftanikiem.

N. 48. Ubranie dziewczynki z wcinanym kaftanem. Krój na dodatku N. XI. Fig. 34—37.

N. 49. Kostium ze staniczkiem i tuniką dla dziewczynki.

N. 50. Ubranie dziewczynki od 4—6 lat.

N. 51. Kostium z luźnym kaftanikiem.

Przytym rycina Paryzka kolorowana.

Dodatek do N. 26 i 27 Tygodnika Mód w Warszawie.

1870 roku.

Opis krojów.

Nr. I. Szlafrok damski ściągany azurem lub paskiem. Ryc. 23—24 w Tyg. Mód Nr. 26.

Fig. 1. Część górna (stanik).
Fig. 2. Przód (stanik i spódnica z naznaczeniem fałdów).
Fig. 3. Karczek.
Fig. 4. Bok.
Fig. 5. Połowa pleców.

Ryciny 23—24 przedstawiają przód i tył szlafroka z odmiennemi garniturkami. Przy mienionem popielatem tle materjału, obłożonie w czarne i białe kraty, dobrze się wydaje. Spódnica o sześciu brytach, ma od wa tylne proste 112 cent. długie, z 68 cent. szerokiego materjału przykrajane, boczne dwa ukośno ścięte, w górze 13 cent. szerokie, rozszerzają się ku dołowi, wszytkowaniem dwa do trzech centym. szerokiego klinika przy trenie; na przedzie bryty podobnież ścięte, wystarcza szerokości materjału. Odrzucenie fałdów, strzałki podkładające i miara, objaśniają na fig. 2 podaną górną część przodu, przystembnowanego od H. do G. do karczka (fig. 3) na podszewce. Część przodu pod spód wypadającą wymaga przy brzegu karczka, przymaszczenia materjału na obrębek. Pod przodami niżej karczka, przyszopia się podług liter sznurówczka (fig. 1, którą się do szwów stanu i ramienia przyszywa. Krokowana linja na fig. 1 wskazuje miejsca, gdzie trzeba zafastrzygować fałdy. Do bocznych szwów stanu, przypadać zupełnie powinny szwy bocznych brytów do tyłu; tylne bryty gęsto się marszczą. Reszta szerokości spódnicy, układa się tu i owdzie w fałdy stosownie do obwodu stanu, i odcięcia naznaczonego od B. do gwiazdy w przodach, obszytych brzegiem aż do dołu. Brzegi te można na ribie zakłonić zamocować, lub przymyślić z małym szporkiem do spinania na guziki. Rękaw paletotowy. Jednokolorowe ruisze i pliski w kratę 1 i 2 cent. szerokie (z kolorową wypustką ostatnie), ubierają stanik; dół rękawa naszywa się 5 cent. szerokim ukosem. Ukos na spódnicy ryc. 23 ma 10—12 cent. szerokości. Fałdy przodów wolno wiszących przewiązują się sznurem z kwastami, lub rąpkim paskiem z materjału sukni. Kokardę z tyłu wskazuje rycina.

Nr. II. Peleryneczka do ubrania rannego. Ryc. 12—13 w Tygodniku Mód Nr. 27.

Fig. 6. Przód chusteczki.
Fig. 7. Połowa pleców chusteczki.

Perkowy, kaszmir na przodach, peleryce i pasach do naszycia, drukowany w tureckie desnie, które można także w wyszyć różnokolorowym jedwabiem w braku glasowanych materjałów. Przody stanika razem ze spódnicą skrajane, zaszywają się jak przy robie principesse, reszty formy przykroić trzeba podług szlafroka Nr. 1 ryc. 23—24 w Tygod. Mód Nr. 26. Przód zakładający się na wierzch, formuje rodzaj rozszerzonej ku dołowi klapy szmuklerskiemi guzikami przywierdzonej, 3 cent. szerokiej przy stanie, a 10 u dołu. Rękaw z rosporkiem u dołu i peleryneczka prócz tureckiego ubrania, oszyte są 5—6 cent. szeroką kaszmirową frendzlą. Muślinowa pitowana lub koronkowa fryzka i mankiety; odpowiedni czepek z kolorowemi wstążkami.

Nr. III. Muślinowa bluzka z szerokiemi rękawami. Ryc. 1 w Tyg. Mód Nr. 26.

Fig. 8. Przód.
Fig. 9. Połowa pleców.
Fig. 10. Rękaw.
Fig. 11. Połowa oszycia rękawa.

Muślinowa szmizetka w 3 cent. szerokie fałdy układana jednakowo z tyłu jak z przodu, zdobi podłużnie wyciętą kolorowemi kokardami ubranu muślinową bluzkę. Fałdy te podług wskazówek na gładkiej bluzce przyfastrzygowane, otaczają się tiulową wstawką jeden i pół cent. szeroką, przyszytą na linjach na fig. 8 i 9 umieszczonych. Wszywka ta spaja przody z plecami w ramionach. Brzeg wstawki danej w koło fałdów, oszywa się muślinową 4 i pół cent. szeroką falbanką w 8 cent. szerokie, a i głębokie zgoły wycinaną, koroneczką oszytą. U szyi idzie takaż sama, 2 cent. szeroka falbanka. Przystembnowawszy wstawki na muślinie płociennemi pliskami, materjał się z pod nich wycina. Przody opatrzone 2 cent. szerokiemi obrębami, na guziki spinanemi, obejmują się u dołu wraz z plecami, 2 cent. szerokim paskiem muślinowym, do którego przyczepić można karowość marszczony, z 8 cent. dużej, prostej sztuki muślinu. Rękawy fig. 10 i oszyte w rodzaju mankieta z plisek, wstawek i muślinowych falbanek przyrządzone w 3-ch cząstkach od Q. do R. złączonych marszczą się skrzynym obrębkiem na szerokość 27 centym. i szyją się z nią podług znaków, przyczem brzegi mankieta otwarte, oszyte falbanką, na siebie zachodzić powinny. Przyczepienie mankieta, pokrywa plisko przytwierdzona muślinowa riusza.

Nr. IV. Staniczek na gorset irlandzką koronką oszyty. Ryc. 3—4 w Tygod. Mód Nr. 27.

Fig. 12. Przód.
Fig. 13. Bok.
Fig. 14. Połowa pleców.
Fig. 15. Rękaw.

Na fig. 12 i 14 podaliśmy linje wskazujące ukosny kierunek zakładek, stanowiących stembnowany garniturek staniku (fig. 12—15) z cienkiego perkalu. Ubranie to na plecach na szew przez środek przez co zakładki ukośne w obydwóch cząstkach, schodzą się w ząb przy szwie. Przyfastrzygowany garniturek przywierdza się koronkową wstawką na przodach staniku dodają się dwa po 2 i pół cent. szerokie obręby. Ryc. 4 w Nr. 27 Tyg. Mód, przedstawia irlandzką koronkę, przewleczoną aksamitką ubierającą wykrój szyi i rękawy, którą łatwo przerobić z rycliny.

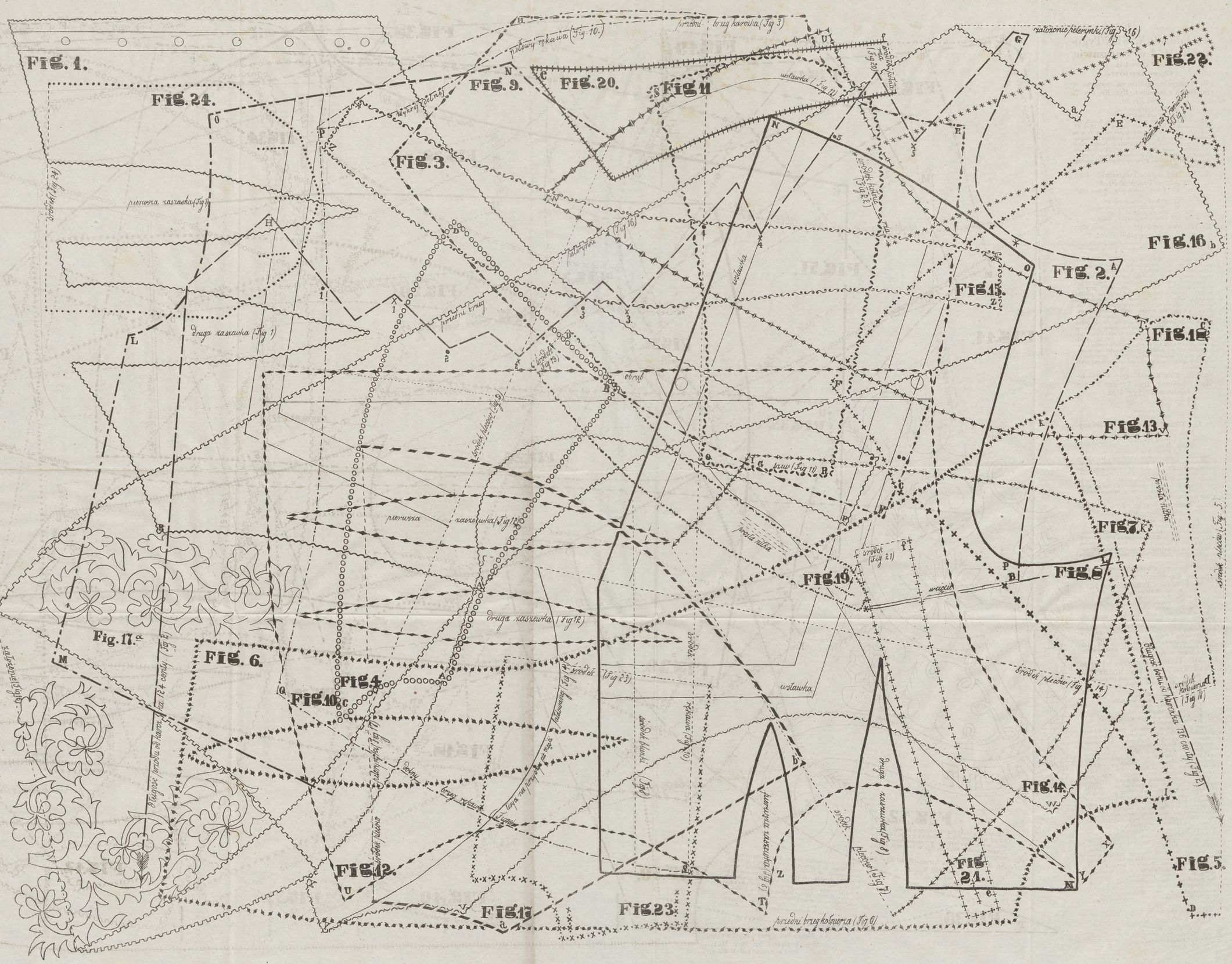

Dodatek do N. 26 i 27 Tygodnika Mód w Warszawie.

1870 roku.

Opis krojów.

V. Pelerynka muślinowa wyszyta w tamborku z deseniem. Ryc. Nr. 4 w T. Mód Nr. 26.

Fig. 16. Przód, 1e założanie.
Fig. 17. Połowa pleców.

Formę pięknie w tamborku haftowanej 3 cent. szeroką koronką oszytej pelerynki podaje fig. 16 i 17. Robota w tamborku powszechnie jest znana. Szew na ramienie chusteczki, dopełnionej paskiem i kokardami, pokrywają dwa rzędy łańcuszka, danego także na obrąbku w koło. Koronka może być „Valenciennes, Brugea", gipiura, i t. p.; zwracamy uwagę w szczególności, na frywolitki i robotę irlandzkiej gipiury, tylokrotnie podawaną.

N. VI. Trzy męzkie kołnierzyki. Ryc. 27—29 w Tyg. Mód Nr. 26.

Fig. 18. Połowa kołnierzyka „Prince Impérial".
Fig. 19. Połowa paska do fig. 18.
Fig. 20. Połowa kołnierzyka „Cosmopolite".
Fig. 21. Połowa paska do fig. 20.
Fig. 22. Połowa kołnierzyka „Ecossais".

Nr. VII. Dwa mankiety z guzikami. Ryc. 30 do 33 w Tyg. Mód Nr. 26.

Fig. 23. Połowa mankieta wykrojonego.
Fig. 24. Połowa mankieta z obciętemi rogami.

Wszystkie w ogóle kołnierzyki i mankiety dla sztywności, wymagają potrójnie lub poczwórnie danego materjału. Ryciny podane objaśniają formę, przestemblowanych tylko moletj, nadmienianey jednak, że odwrócone rogi kołnierza „Ecossais" powinny być tylko pojedyncze. Krawatki „Humbug" przy Nr. 28 i 29 przymocowane na guzika kołnierza pętelką gumową, albo pod kołnierzem idącym gumowym sznurkiem, dają się na tekturowym półkręgiem 7 cen. długim, a 3 szerokim rypsem czarnym obciągniętym. Krawatki są także czarne rypsowe. Muszlowym guzikiem spięty mankiet ryc. 31 nosi się tylko na jedną stronę; u drugiego brzegu gdzie jest wcięty i dwa razy przestembnowany, dają się trzy dziurki do przypinania na guziki rękawów od koszuli. Nr. 32 przedstawia guzik z brązowej skóry, z gwiazdą czarno i biało emaljowaną we środku i grochu szlakiem w około. Rycina 33 wskazuje stojny guzik, przedstawiający starą srebrną monetę złotemi klamerkami przytrzymaną.

Nr. VIII. Stanik pod szyję z wyłożeniem i bawetem. Opis i rycina 2 i 3 w numerze 26 Tyg. Mód.

Fig. 25. Przód.
Fig. 26. Bok.
Fig. 27. Połowa pleców.
Fig. 28. Połowa wykładu.

Nr. IX. Okrągły karoczek fałdowany. Ryc. 7 w N. 26 Tyg. Mód.

Fig. 29. Przód karoczka.
Fig. 30. Bok.
Fig. 31. Połowa tyłu karoczka.

Karoczek ten okrągło obejmujące stanik, ma z przodu dwa rozchodzące się końce. Przez czerwą się jedwabną bufką, z 4 cent. szerokiego aksu, tego samego lub odmiennego cienia; z pod bufki wystaje 3 cen. szerokie plisowanie z materjału suknii. W środku 10 cent. szeroka do 6 centym. ukośno na końcach ścięta riusza fałdowana z materjału sukni, zamiast kokardy w tyle obejmuje się ustawą.

Nr. X. Karoczek w zęby. Ryc. 8 w Nr. 26 Tyg. Mód.

Fig. 32. Przód karoczka.
Fig. 33. Połowa tyłu karoczka.

Ubranie karoczka składa się z 1 i pół cent. szerokich pliseк materjału sukni karmazynką białą czystych i 6 cent. szerokiej kaszmirowej frendzli w dwóch cieniach. Części pojedyncze złożone razem podług litter, obejmują się paskiem; w tyle dana jest kokarda bez końcy.

Nr. XI. Spacerowe ubranie z wcinanym kaftanem dla dziewczynki od 11—14 lat. Ryc. 48 w Tyg. Mód Nr. 26.

Fig. 34. Przód kaftanika.
Fig. 35. Połowa pleców.
Fig. 36. Połowa kołnierza z wykładem.
Fig. 37. Rękaw.

Kaftanik taki zrobić można z materjału sukni, albo kaszmiru czarnego lub materji jedwabnej. Guziki i naszycie aksamitne. Spódniczkę z popielatego kreytu aksamitką. Tunika fartuszkowa z przodu, z tyłu bufującą się przez przyfałdowanie na bokach, ozdabia się pętelkami z pliseк. Kapelusz z bia-łej słomy, czarnym piórem ubrany.

Nr. XII. Ubranie chłopczyka od 12 do 15 lat. Ryc. 5—6 w Tyg. Mód Nr. 27.

Fig. 38. Część przednia majtek (1e założenie).
Fig. 39. Część tylna majtek.
Fig. 40. Pasek.
Fig. 41. Przód kamizelki.
Fig. 42. Połowa pleców kamizelki.
Fig. 43. Przód żakiety.
Fig. 44. Połowa pleców żakiety.
Fig. 45. Połowa wyłożonego kołnierza.
Fig. 46. Rękaw.

Ubranie to złożone z kamizelki, majtek i żakiety z granatowego sukna, ozdabiają czarne rypsowe guziki i czarna stembnówka. Doskonale formy, niewiele wymagają objaśnień. Zeszywsze majtki wysięgnąć trzeba przez przodów podług fig. 38, od podwójnej kropki krzyżyka, i od gwiazdki do krzyżyk, tyle żeby trzonych; forma wiele na tem zyskuje. Przód nogawek u dołu podszyje 7 cent. szerokim grubem szarem płótnem. Pasek podszywa się u góry perkalem. Listewka do guzików podszyta, wymaga drugiej z dziurkami, pokrytej przystembnowaną podwójną listewką suknieną. Kieszenie krój się tak długie, żeby dochodziły do górnego brzegu przedniej części majtek, podszytego perkalem. Z tyłu dają się paski do ściągnia ze sprzączkami. Górny brzeg majtek naszywa się sześcioma guzikami, w rozporku trzeba dać trzy tylko. Na kamizelce przystembnowywać trzeba w tyle 2 i pół cent. szeroki suknieny pasek; przy kieszeniach na fig. 41 zaznaczonych, daje się jeden wierzchnia klapka, prosty 1 i pół szeroki kawałek sukna, starannie wystembnowany, z boków do kamizelki przyszyty. Bez podszewki zrobiona żakietą, z podwójnym kołnierzykiem, podwyższa się na 1 cen. w około i przystembnowywa. Przody podszyte 4 i pół cent. szerokim suknennym pasem. Klapka kieszenio-wa, na fig. 43 odznaczona, przyrządza się oddzielnie z sukna perkalem podszytego, przyszywa się ją na spodnim brzegu rozcięcia kieszeni, żeby na 2 centym. wystawała, a na 3 cent. przechodziła rozcięcie na bokach. Kieszeń powinna się kończyć w dolnym obrębie żakiety.

Nr. XIII. Spacerowy kaftanik dla dziecka od 2—4 letniego. Ryc. 8 i 9 w Ty. Mód Nr. 27.

Fig 47. Przód.
Fig 48. Połowa pleców.
Fig. 49. Rękaw.

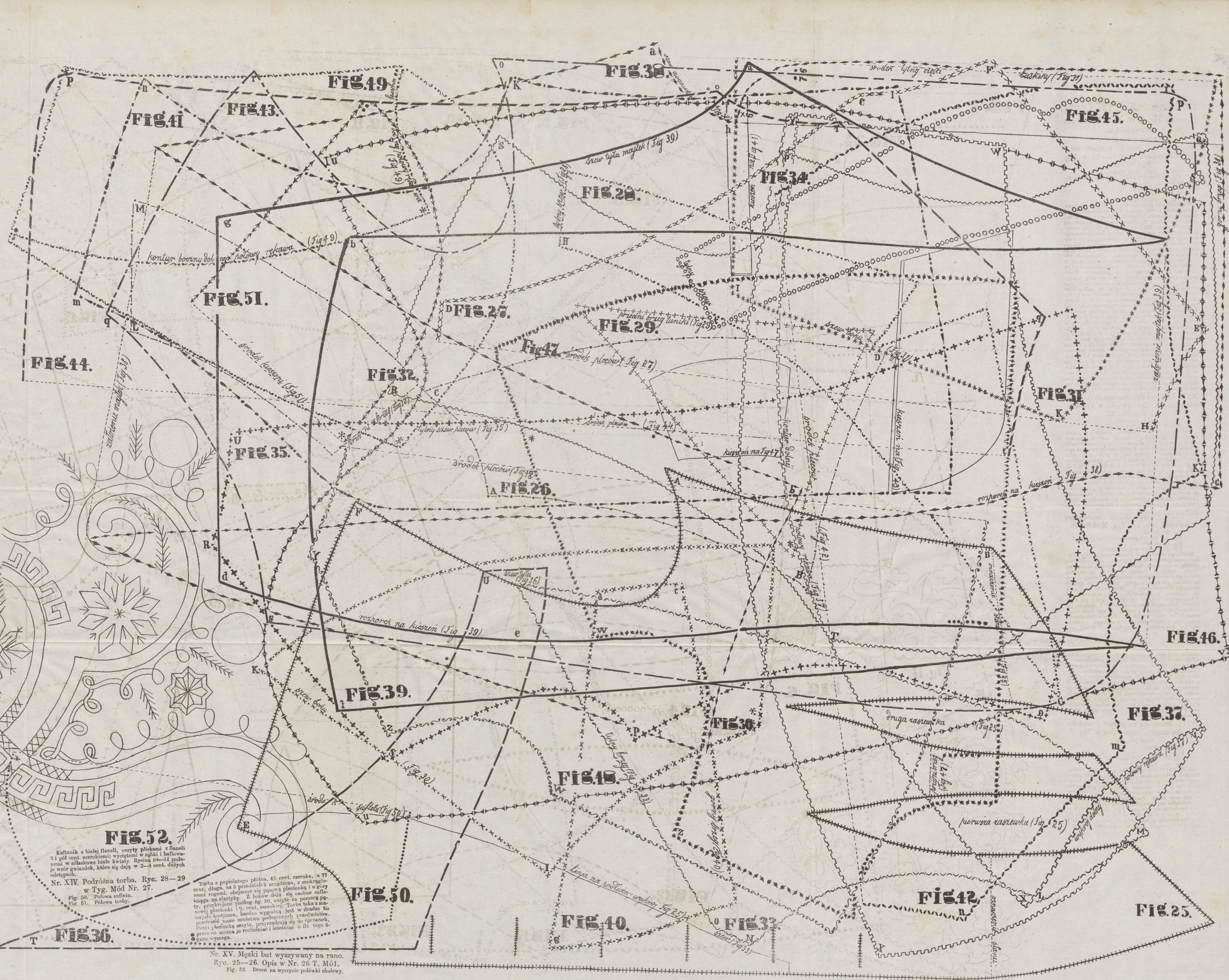

Fig. 52. Kaftanik z białej flaneli, oszyty pliskami z flaneli 3 i pół cent. szerokiemi; wycięteni w ząbki i haftowanemi w szlakowe białe kwiaty. Ryciua 10—11 podaje wzór gwiazdek, które się dają w 2—4 cent. dużych odstępach.

Nr. XIV. Podróżna torba. Ryc. 28—29 w Tyg. Mód Nr. 27.

Fig. 50. Połowa sufletu.
Fig. 51. Połowa torby.

Torba z popielatego płótna, 45 cent. szeroka, a 77 cent. długa, na 5 przedziałek urządzona, z zaokrąglonemi rogami, obejmuje się pąsową pleciónką i u góry sznurem na elastykę. Z boków dają się osobne sufle-ty, przykrojone podług fig. 50, ustyte za pomocą pąsowej pleciónki 1 i pół cent. szerokiej. Torba taka z ma-terjału kostjumu, bardzo wygodną jest w drodze bo pomieścić może mnóstwo podręcznych przedmiotów. Posiada pleciónki oszyte, przyrządzają się do sprzączek, przez co można je rozluźniać i ścieśniać o ile tego figura wymaga.

Nr. XV. Męzki but wyszywany na rano. Ryc. 25—26. Opis w Nr. 26 T. Mód.

Fig. 52. Desen na wyszycie połówki cholewy.